



SLC

W poprzednim wstępniaku, poświęconym Bierce'owi, przypomniałem sobie o złożonej wcześniej (w tekście o Stevensonie) obietnicy, iż napiszę na łamach „Informatora” także o Marku Twainie. Czas więc owo miłe zobowiązanie wypełnić...

Mark Twain, pisarz amerykański. Naprawdę nazywał się Samuel Langhorne Clemens. Urodził się w roku 1835, zmarł – w 1910 r. Autor wielu znakomych powieści, opowiadań i szkiców. Uznany za pierwszego wielkiego prozaika w historii literatury Stanów Zjednoczonych. W Polsce, w odbiorze przeciętnego współczesnego czytelnika, postrzegany absurdalnie jako pisarz li tylko dla dzieci.

Przyczyniły się do tego niewątpliwie, cieszące się do dziś ogromną popularnością, *Przygody Tomka Sawyer*. Nie była to powieść pisana z myślą o młodzieży, lecz młodzież „przywłaszczyła ją sobie” – podobnie jak *Trzech muszkieterów* Dumasa czy kanon twórczości Verne'a. Książka jest rzeczywiście urocza, w całości „przyswajalna” dla młodego czytelnika; nie tylko z młodocianymi bohaterami – ale też pełna równie trafnych co ironicznych spostrzeżeń psychologiczno-obyczajowych. Ja jednak (podobnie jak np. Lem, do czego przyznał się on w jednym z wywiadów) wolę inny tom z Twainowskiego eposu o Missisipi: *Przygody Hucka*. To pyszna „powieść drogi” (zapoczątkowująca ten arcyamerykański gatunek), zaś przenikliwy sarkazm Twaina (tak dlań charakterystyczny) jest już w pełni rozkwitu. Powstały jeszcze dwie powieści nawiązujące do obu bohaterów (*Tomek Sawyer za granicą* i *Tomek Sawyer detektywem*), jednak – nawet mimo elementów fantastyki występujących w jednej z nich – nie są one szczytowymi osiągnięciami pisarza.

Ale do samej fantastyki Twain sięgał chętnie, przeważnie ze świetnym efektem. Zwykle jego wizje podszyte były ostrą groteską, obecną również w nie-fantastycznych humoreskach. W Polsce kilkakrotnie wydawane były tomy jego nowel, warto więc powyławić z nich takie perełki, jak np.: *Wizyta kapitana Stoomfielda w Niebie*, *Bajeczki dla starych dzieci*, *List z rachuby Niebios*, *Podróż międzyplanetarna*, *Nieszczęsny narzeczony Aurelii*, *Biały słoń*, *Groteskowa autobiografia*, *Jak redagowałem dziennik w Tennessee*, *Jak redagowałem gazetę rolniczą*, *Dlaczego podałem się do dymisji*, *Dzieje grzecznego chłopczyka*, *Dzieje niegrzecznego chłopczyka*, *Człowiek, który zdemoralizował Hadleyburg*...

Najsłynniejszą dłuższą formą fantastyczną Twaina jest *Janek na dworze Króla Artura* – fabuła do dziś często parafrazowana w filmie i komiksie. Tu zresztą widać wyraźnie jeden z bardziej kontrowersyjnych elementów światopoglądu pisarza: wyraźną niechęć i wyraźne poczucie wyższości obywatela Nowego Świata wobec Starego Kontynentu. SLC daje temu wyraz jeszcze nieraz, także w kostiumowej powieści młodzieżowej *Królewicz i żebrak*.

Ciekawsza jest jednak jego fantastyka „obrazoburcza”: nawiązująca do Biblii, do nauk protestanckich „szkółek niedzielnych” – oraz do realiów Ameryki tolerującej niewolnictwo, lincze i... obłudę. A tej ostatniej Samuel Langhorne Clemens nienawidził szczególnie, zwłaszcza przyprawionej ostentacyjną dewocją! Tu przykładami mogą być takie powieści, jak *Tajemniczy przybysz* czy *Listy z Ziemi*. Ci wszyscy, którzy protestowali tak zawzięcie przeciw *Harry'emu Potterowi* – powinni przeczytać utwory z tej półki (nb. często wydawane wiele lat po śmierci autora); wtedy mieliby się o co naprawdę oburzać! Ale cóż... Na walce z prawdziwym artystą nikt dziś kapitału politycznego nie zbije, gdyż czysto marketingowy produkt bardziej dziś porusza masowego czytelnika (ktoś taki, jak niżej podpisany – co czytał Twaina, a nie czytał Rowling – jest już chyba dinozaurem na wymarcie!).

Mark Twain słynął też z kapitalnych aforyzmów, do dziś zresztą chętnie cytowanych.

Pamiętam też jego złośliwą recenzję fragmentu któregoś z tomów *Pięcioksięgu przygód Sokolego Oka* Coopera – gdzie, analizując opis walki bohaterów płynących w canoe z Indianami na drzewie, dochodzi do wniosku, że to canoe musiało być długie jak barka...

Sięgnijcie po, nieco u nas zapomnianą, spuściznę SLC – polecam!

Jan Plata-Przechlewski



URODZINY

Listopadowi Urodzeńcy!

Idzie jesień...

Nie ma na to rady...

Znowu mamy doła...

- I Wy spodziewacie się życzeń?!?

Redakcja "Informatora"

- | | |
|------------------------|---------------------------|
| 1 Tomasz Brzostowski | 11 Elżbieta Kotlarek |
| Krzysztof Kielichowski | 12 Joanna Piszczek |
| 5 Marcin Grygiel | 16 Sławomir Ginter |
| 6 Adam Rzymowski | 17 Łukasz Węglowski |
| 7 Dariusz Przewoski | 23 Maciej Gostomski |
| 8 Piotr Mazurowski | 26 Jaśmina Kotlarek |
| 9 Łukasz Łuczyński | 28 Małgorzata Stankiewicz |
| Sławomir Seta | 29 Andrzej Sawicki |
| 10 Marcin Rutkowski | 30 Konrad Wawruch |
| Piotr Sierociński | |

WRZEŚNIOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Odbyło się w dniu 19.09.2004 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

I. SPRAWY ORGANIZACYJNE

1. Krzysztof Papierkowski i Michał Szklarski przedstawili sprawozdanie z Teleportu 2004 i wnioski dotyczące zaangażowania GKF w organizację Teleportu 2005.
2. Adam Cetnerowski zreferował postępowanie prac nad stroną internetową Klubu.
3. Omówiono sprawy Sekretariatu GKF
4. Prezes GKF przedstawił sprawozdanie z przygotowań do Nordconu 2004. Dokonano wyboru koordynatora, którym został Krzysztof Papierkowski.
5. Michał Szklarski, przedstawił sprawozdanie z Polonu 2004.
6. Prezes KL SNOT poinformował Zarząd i Radę Stowarzyszenia o zmianie nazwy z "Klub Graczy Warhammera SNOT" na „Klub Miłośników Gier Strategicznych SNOT”.

II. SPRAWY PERSONALNE

1. Nadanie członkostwa rzeczywistego

Zarząd i Rada Stowarzyszenia zdecydowały o przyznaniu członkostwa specjalnego Robertowi Kotlarkowi (KL First Generation)

2. Rozpoczęcie stażu kandydackiego

ANGMAR Robert Jaliński; SNOT Anna Grzeszkiewicz; KCzK Dariusz Kosowski

3. Zakończenie stażu kandydackiego

ANGMAR Olga Rostkowska, Maciej Dawidowicz; CAVUM TERRAE Grzegorz Niedźwiedź, Tomasz Brzozowski; FIRST GENERATION Andrzej Dubiak; SNOT Michał Krzemiński, Przemysław Łasek, Piotr Krajeński; m KCzK Małgorzata Frankowska, Łukasz Kulesza

4. Skreślenie z listy członków GKF osób zalegających ze składkami za I kwartał

ANGMAR Paweł Wasilewski, Michał Bińczak, Michał Makowski, Tomasz Rachwalski, Rafał Nowara; SNOT Sebastian Goertz, Krzysztof Kawczyński, Marek Pazio i kandydaci: Artur Chabrom, Jacek Szypczyk; KCzK Jacek Białołęcki; STRONG Piotr Cisakowski

4. Przeniesienia

Marcin Markowski z KL ORDO do KL Angmar od IV kw. 2004 r.

5. Urlopy

Piotr Kowalski (Ordo) od IV kw. 2004 r., Marcin Zajdel (Ordo) – IV kw. 2004 – I kw. 2005 r.

III. SPRAWY FINANSOWE

1. Skarbnik GKF przedstawił informację o stanie finansów Klubu.
2. Prezes GKF omówił składkopiłatność w II kwartale 2004 r. i przedstawił stany subkont KL.

IV. PRACA KOMISJI REWIZYJNEJ

Ustalono termin kontroli Działu Gier Fabularnych na trzecią niedzielę października. Komisja planuje również do końca roku skontrolować Dział Kolportażu oraz Dział Gier Karcianych

Miło nam donieść, że do naszej redakcji dołączył właśnie Marek Michowski. Jego wiedza wzbogaci niewątpliwie nasz periodyk, jego redakcyjne doświadczenie wzmocni nasze siły w walce z chochlikami, zaś nieparzysta liczba redaktorów ułatwi (ewentualne) głosowanie... Marek przeszedł pomyślnie terminowanie przy zszywaniu „sierpniowca” – i teraz jest już pełnoprawnym członkiem naszego kolegium redakcyjnego.

Cieszymy się, Marku, że jesteś z nami – i witamy Cię bardzo serdecznie!

– dotychczasowa Redakcja „Informatora” GKF

Fantastyka na UMC

„Słowo się rzekło, kobyłka u płotu” — chciałoby się powiedzieć. Toteż — zgodnie z obietnicą — nadszedł czas, by zdać sprawę z lubelskiej sesji naukowej poświęconej związkom obiegów kultury wysokiej i popularnej. Zorganizowane w dniach 9-10 września 2004 roku przez Uniwersytet Marii Skłodowskiej-Curie spotkanie miało formułę na tyle szeroką, by prelegenci mogli poruszać najrozmaitsze kwestie — w tym związane z fantastyką.

Zaprezentowane referaty można ułożyć w dwa cykle problemowe. Pierwszy z nich dotyczył społecznego odbioru *fantasy*. Gatunek ten w Polsce stał się popularny głównie za sprawą twórczości Andrzeja Sapkowskiego. Analizie przyczyn i konsekwencji owej popularności poświęciła wiele miejsca Magdalena Roszczynialska (Akademia Pedagogiczna w Krakowie), która w szkicu *Wiedźmin — mniejsze zło czy kwestia ceny?* wskazywała na związki cyklu z tradycją Homerycką i Kabałą. Postrzegając Sapkowskiego jako twórcę postmodernistycznego, zafascynowanego dialogami tekstów kultury, prelegentka przypisała cyklowi wiedźmińskiemu istotną rolę w przygotowywaniu uczniów do lektury arcydzieł literatury powszechnej, do których odwoływał się Sapkowski (Homer, Szekspir, Calvino). Czy jest to jednak najważniejszy powód, dla którego czytamy *fantasy*?

Odpowiedź na to pytanie usiłowała dać Kinga Kwaterska (Uniwersytet Warszawski) w referacie *Literatura fantasy — wzbogaca czy zubaża? Spojrzenie na twórczość*

R. Żelaznego [sic!] i T. Pratchetta. Tytuł referatu — niezwykle sugestywny — nie oddawał niestety jego zawartości. Prelegentka skupiła się głównie na prezentacji dwu cykli: *Amberu* i *Świata Dysku*. Zestawiając oba cykle, Kwaterska pragnęła uwypuklić ich antytetyczność (*Amber* — świat bohaterów, *Discworld* — antybohaterów). Potencjalnie najciekawszy *passus*, jakim mogła stać się uwaga na temat źródeł popularności utworów *Żelaznego* i *Pratchetta* (tj. odpowiednio: konstrukcja intrygi, odwołująca się do tradycji pisarstwa Agaty Christie i gra z konwencją) nie został rozwinięty w satysfakcjonujący sposób. Podobnie zabrakło odpowiedzi na tytułowe pytanie.

W przeciwieństwie do referatu Kwaterskiej, skromny tytuł wystąpienia Katarzyny Aust (Uniwersytet Warszawski) *Funkcjonowanie motywów z kultury wysokiej w kulturze popularnej* raczej nie sugerował nad wyraz ciekawej zawartości, dotyczącej związków średniowiecznego romansu rycerskiego z subkulturą miłośników *fantasy*. Topikę rycerską Aust rozpatrywała na dwu poziomach: jako reinterpretację rozwiązań fabularnych

i element dekoracyjny. Akcentując źródła przyjemności w rozpoznawaniu wzorcowych, spójnych obrazów istot zamieszkujących fantastyczne krainy (smoków, elfów, magów), prelegentka akcentowała konieczność wysokiej świadomości literackiej odbiorcy, który potrafi owe wzorce prawidłowo rozpoznać i zinterpretować.

Druga grupa wystąpień związana była z wykorzystywaniem fantastyki w procesie dydaktycznym. Tu zróżnicowanie gatunkowe było większe, choć również dominowała *fantasy*. Poświęcono jej dwa trzech wystąpień: Marcina Kalety (Akademia Pedagogiczna w Krakowie) — *Czy science fiction i fantasy mają prawo bytu w procesie edukacji gimnazjalnej?* i Agnieszki Szurek (Uniwersytet Warszawski) — *Literatura fantasy*

w podręcznikach i na lekcjach języka polskiego w liceum i gimnazjum. Za sprawą ostatniego z referatów — Anity Has-Tokarz (Uniwersytet Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie) przywołana została literatura grozy w referacie zatytułowanym *Horror w dydaktyce współczesnej — zagrożenie czy szansa edukacyjna?*. Tym, co łączyło sygnalizowane tu referaty było — skądinąd słuszne — przekonanie, iż popularność wśród młodzieży fantastyki umożliwia jej wykorzystanie do przekazu istotnych społecznie wartości. Dostrzeganie w fantastyce czegoś ponad literaturę trywialną (czego dowodem jest, moim zdaniem, otwarcie przed nią podwoi szkoły) pozwala na normalizację sytuacji, w której o wartości dzieła nie będzie decydować — jak to nieraz bywało — obierana konwencja, lecz istotność podejmowanej tematyki.

Spotkanie dobiegło końca i musiałem opuścić gościnny Lublin. Nie jest to jednak kres moich naukowych wojaży po ziemi lubelskiej, na którą wrócę już niebawem w związku z organizowaną przez KUL sesją *Współczesność wobec romantyzmu*. Zamierzam wygłosić na niej referat o recepcji romantycznych motywów wampirycznych i mam nadzieję iż nie będzie to na owym spotkaniu jedyny szkic z kręgu fantastyki, jednakże pożyjemy — zobaczymy...

Na zakończenie pragnęlbym podziękować p. Dominice Dworakowskiej-Marinow za pomoc w ogarnięciu prezentowanych tu referatów.

Adam Mazurkiewicz



Zielono mi

czyli relacja z Polconu 2004

Wszędzie dobrze, ale na Polconie najlepiej – wiele jest w Polsce konwentów, ale taki tylko jeden. Dlatego też nie namyślaliśmy się z bratem długo, decydując o wyjeździe do Zielonej Góry.



Imprezę zorganizowała „Ad Astra”, dotąd znana w Polsce z dobrze przyjmowanego „Winobrania”, we współpracy z Uniwersytetem Zielonogórskim. Odyła się w przyjemnym miejscu na obrzeżach Zielonej, w jednym z uniwersyteckich kampusów. Wszędzie było blisko – w pobliżu akademika stał budynek z salą kinową, a kilkadziesiąt metrów dalej główny budynek konwentu. Obok kilka bankomatów, budka z bardzo

dobrym wienamskim żarciem, supermarket, knajpa prowadzona przez lidera kabaretu „Potem” – słowem, lokalizacja tak wszystkim przypadła do gustu, że mało kto zdecydował się opuścić miejsce i wybrać na zwiedzanie starówki.

Zjawiła się oczywiście cała plejada pisarzy, wydawców i innych osób związanych z fantastyką, w tym goście honorowi: Jacek Dukaj, wydawnictwo „RUNA” reprezentowane przez Edytę Szulc i Ninę Liedtke (które przywoziły ze sobą Ewę Białołęcką, Marcina Mortkę, Michała Studniarkę, Iwonę Surmik i Wita Szostaka) oraz Tadeusz Olszański. Byli również Andrzej Pilipiuk i Witold Jabłoński. Wszyscy wytrwale produkowali się w ramach programu publicystycznego.

Został on podzielony na sześć bloków: ogólny, cykl prelekcji o magii, cykl komiksowy, RPG, mangowy oraz cykl wykładów naukowców Uniwersytetu Zielonogórskiego. Te ostatnie – wyjątkowo ciekawe i na bardzo wysokim poziomie – dotyczyły m.in. „Wirtualnego Wszechświata w Internecie” i książyców w Układzie Słonecznym. Z kolei w bloku magicznym udzielali się m.in. Andrzej Pilipiuk, Dorota Gutfeld, Michał Studniarek i Godryk; wszyscy mówili o tym, jak działają „Moce słowa” (tytuł prelekcji Doroty). Ja też miałem prelekcję o słowiańskich zaklęciach. Natomiast w ramach bloku komiksowego można było np. posłuchać o nowych komiksach amerykańskich, sprawdzić swoją wiedzę o Marvelu, zapoznać się z najnowszym komiksem Igora Myszkiwicza i spotkać z twórcami zielonogórkimi.

Z ciekawszych prelekcji i spotkań „ogólnych” – Tadeusz Olszański mówił o tym, dlaczego (nie) lubimy Tolkiena. Ewa Białołęcka streszczała potterowe fanfiki, w sporej części dotyczące miłości bohaterów J. K. Rowling (we wszelkich możliwych konfiguracjach, także jednopłciowych). Autorzy „RUNY” dyskutowali o debiutowaniu w polskiej fantastyce. Witold Jabłoński opowiadał o seksualno – perwersyjnej stronie wampiryzmu. W sobotnim



forum wydawców wzięło udział dwoje gości z „Zielonego Psa” z Ukrainy (dzięki czemu przywłaszczyłem sobie numer ciekawego pisma „Realność Fantastyki”). Andrzej Pilipiuk – jak zwykle ciekawie – opowiadał o próbach wynalezienia kamienia filozoficznego, co nierzadko wiązało się z prowadzeniem prywatnej destylatorni. I tak dalej – jak zwykle głowa bolała od bogactwa i zawsze naraz odbywało się ładnych kilka polconowych spotkań.



Bardzo szeroki był blok RPG-owy, którego jednak – jak zwykle ze względu na niekompetencję – nie podejmuję się opisać. Parę swoich punktów programu mieli też mangowcy.

Bogaty był blok konkursów, spośród których udział wzięłem w trzech. Najpierw obroniłem (choć dopiero po dogrywce) ubiegłoroczne trzecie miejsce w konkursie z twórczości Ewy Białołęckiej. Co prawda startowały cztery osoby, ale zważywszy na fakt, że nie czytałem trzeciego tomu, wynik i tak jest niezły. Następnego dnia jako drużyna GKF-u wystartowaliśmy z Markiem Michowskim i Studentem w konkursie „początkowo – końcowym” (odgadywało się, z której książki pochodzi pierwszy lub ostatni akapit utworu). Udało nam się odpowiedzieć na parę bardzo paskudnych pytań i zajęliśmy drugie miejsce, zaraz za bezkonkurencyjnym SKF-em (ale w przyszłym roku mamy nadzieję na rewanż). Wreszcie ostatniego dnia razem ze Studentem dołączyliśmy do bardzo efektywnego kalamburwego zespołu Marcin Bronhard – Michał



Szklarski. Tym razem jednak poszło nam bardzo słabo. Na pocieszenie mogłem z bliska oglądać upadek prowadzącej konkurs Foki, która najpierw chciała wyrzucić mnie z podium, myśląc, że jestem moim bratem i pomyliłem kolejność, a po uświadomieniu błędu z wrazenia rymśnęła na podłogę.

Na uwagę zasługuje również świetny pomysł organizatorów – piątkowy pokaz starych filmów. Dzięki temu wreszcie obejrzałem „Metropolis” Fritza Langa – a zobaczyć można było również „Nosferatu” – symfonię cienia” i „Podróż na Księżyc” Meliesa z 1902 roku.

Były też inne atrakcje – takie jak wystawa prac Igora Marcinkiewicza na korytarzu czy próby strzelania z łuku.

Konwent wykorzystaly też co aktywniejsze osoby z Fandomu, które w piątkowy wieczór wprowadzały ostatnie poprawki do projektu nowego regulaminu Polconu i Nagrody Zajdla, szykowanego od pół roku.

GKF reprezentowaliśmy Michał i ja. Po żywiołowej i bardzo owocnej dyskusji propozycja trafiła na Forum Fandomu, które przyjęło ją z kilkoma poprawkami Tadeusza Olszańskiego.





Oprócz uczestnictwa w spotkaniach, prac nad regulaminem i życia towarzyskiego – o którym za chwilę – doczytywałem opowiadania nominowane do „Zajdli”, których kopie (podobnie jak nominowane książki) jak zwykle przywiozła Ela Gepfert. Miałem też wielką ochotę posiedzieć przy zajdłowej urnie, razem z innymi zbierając wypełnione karty, jednak musiałem się od tego powstrzymać – wobec zapowiedzi, że będę kandydatem do

komisji liczącej głosy (i jednego, i drugiego na tym samym Polconie robić nie można). W sobotę rzeczywiście się w komisji znalazłem; pod czujnym okiem Lecha Olczaka nic złego stać się nie mogło, więc cała procedura przebiegła sprawnie.

A skoro już o „Zajdlach” mowa – trzeba wspomnieć o ceremonii zakończenia. Nie odbył się niestety konkurs strojów (poprzedniego dnia miejsce miał jedynie konkurs strojów startrekowych). Rozwiązany został natomiast polconowy konkurs literacki. Chwilę później nastąpiła efektowna graficzna prezentacja zajdłowych kandydatów; wyróżniały się charakterystyczne zdjęcia Andrzeja Pilipiuka. Następnie Tadeusz Olszański – nie przyjechała niestety pani Jadwiga Zajdel – wręczył nagrody laureatom. W kategorii powieści wygrał utwór typowany, aczkolwiek ostrożnie, na faworyta – „Inne pieśni” Jacka Dukaja, zaś w kategorii opowiadania – kolejny utwór Andrzeja Ziemiańskiego, „Zapach szkła”. Dukaj, dla którego była to druga statuetka, z wrażeń nie wiedział, co powiedzieć, i po prostu podziękował; drugiego laureata na konwencie nie było i nagrodę odebrał w późniejszym terminie.

To tyle o oficjalnej części konwentu – a teraz czas przejść do tego, co było na nim najważniejsze, to jest do życia towarzyskiego i rozmaitych punktów nieformalnych.

Szczerze mówiąc, staję się chyba typowym lekko zblazowanym fanem, dla którego spotkania ze znajomymi i przyjaciółmi stanowią większą atrakcję niż program; wielokrotnie zamiast ciekawych prelekcji i spotkań wybierałem rozmowę z Jurkiem Mikszą, Godrykiem czy Szamanem. Z tym pierwszym w piątek udaliśmy się na obiad do wietnamskiej budki, trafiając m.in. na Raka i Pipoka; wkrótce dołączył do nas pozostający w stanie tradycyjnym Duda. Z kolei wieczorem udałem się do wspomnianej już knajpy; dosiadłem się do brata, Marcina Bronharda, Studenta i Piotrka z Lublina. Szybko znużył nas panujący wewnątrz hałas i udaliśmy się z piwem na murek przed budynkiem. Następnie przenieśliśmy się do klubu studenckiego znajdującego się w akademiku, gdzie małem okazję m.in. pogadać z Jackiem Pniewskim.

Następnego dnia – z uwagi na obowiązki zajdłowe i Forum Fandomu –



przez spory czas byłem zajęty; po obliczeniach głosów posłuchałem dwóch prelekcji, wygłosiłem własną i udałem się na ceremonię zamknięcia Polconu, podczas której tradycyjnie czatowałem z innymi pod sceną, mając nadzieję na zrobienie dobrych fotek.

Po ceremonii zagadnąłem Andrzeja Pilipiuka o Nordcon – a chwilę później razem z nim, panem Pavlem Weiglem i czeskim wydawcą książek o Wędrowyczu skierowaliśmy się do klubu w akademiku. Jakiś czas dyskutowaliśmy przy jednym ze stolików, m.in. o czeskiej fantastyce; wieszczę częstował fantastyczną siedmiomiesięczną nalewką własnej roboty, twierdząc, że ma lepsze. Następnie z wyjątkowo głośnego wnętrza wyszedłem na korytarz, gdzie trafiłem na Maćka Olczaka, Godryka, Szymona Sokoła, Wojtkę Orlińskiego i innych; rozmawialiśmy do późnego wieczora. Wreszcie musiałem opuścić towarzystwo – trzeba było się spakować przed porannym wyjazdem.

Ogólnie rzecz biorąc, Polcon w Zielonej Górze można nazwać bardzo udanym. Wprawdzie kilka szczegółów – np. czarno-biała okładka programu czy bardzo skromne identyfikatory – wskazywało na poczynione przez organizatorów oszczędności, jest to jednak raczej pozytyw: lepiej być ostrożnym i zapobiegawczym niż ryzykować poniesienie straty finansowej. Program – co na ostatnich Polconach staje się normą – imponował rozmachem i różnorodnością, warto też zwrócić uwagę na kilka świetnych pomysłów (takich jak współpraca z Uniwersytetem Zielonogórskim, wycieczka do niemieckich fortów dla chętnych, pokaz filmowych staroci). Niemal wszystko szło jak w zegarku, nie było prawie żadnych niedociągnięć. Konwent i jego program stały na bardzo wysokim poziomie, a organizacja – z nielicznymi wyjątkami – bliska była perfekcji.

Krótko mówiąc – był to jeden z najlepszych i najsprawniej zorganizowanych Polconów ostatnich lat. Przybyło co prawda 350 osób, mniej niż w Krakowie czy Katowicach – ale cóż, takie są prawa organizowania konwentów w mniejszych



miastach. Z drugiej strony, wyraźnie widać, że najważniejsza impreza miłośników fantastyki w Polsce ma stałą grupę wiernych fanów, której liczebność nie spada poniżej pewnego poziomu. Ponadto w mniejszej miejscowości nieraz zorganizować konwent tej rangi jest łatwiej – dzięki większej przychylności lokalnych władz i innych instytucji, co i w Zielonej Górze miało miejsce.

Podsumowując – Polcon 2004 wyszedł „Ad Astrze” wyjątkowo dobrze. Z Zielonej Góry wyjeżdżałem bardzo zadowolony. Mam nadzieję i pewność, że „Druga Era”, przyszłoroczny organizator jubileuszowego Polconu w Poznaniu, utrzyma wysoki poziom imprezy.

Ulubiony Polcon 2004

Jakiś rok temu, kiedy gruchnęła wieść o tym, że Polcon wybiera się do Winnego Grodu, zaczęły się na ten temat niewybredne żarty. W opinii mojej i moich znajomych organizowane dotąd przez klub Ad Astra imprezy fantastyczne nie stały na najwyższym poziomie. Zasłyszane opinie zaprzyjaźnionych erpegowców z innych miast były zresztą podobne. Nie spodziewałem się, by Polcon był w tym względzie inny. Jak się okazało, Ad Astra sobie z zadaniem poradziła a mnie przychodzi odszczekać niepoehlebne komentarze.

O TYM, CO DOBRE

Czterodniowy konwent został całkiem sprawnie zorganizowany i przeprowadzony. Tym razem gospodarzem imprezy był Uniwersytet Zielonogórski, więc działa się głównie w komfortowych i nowoczesnych salach Kolegium Językowego, potocznie zwanego przez studentów "Titanikiem" (z powodu okrągłych okien i katastralnych kosztów budowy). Dodatkowo, w pobliskim głównym budynku kampusu urządzono salę kinową a w uniwersyteckiej palmiarni turniej bitewniaków. Nie widziałem wspólnej sali noclegowej, za to dwu- i trzyosobowe pokoje w studenckich akademikach były całkiem nienajgorsze i wierzę, że konwentowiczom dobrze się w nich nocowało. W okolicy było kilka sklepów spożywczych i dwa supermarkety; popularna wśród studentów buda ze znakomitą chińszczyzną, pizzeria oraz naleśnikarnia w której zostawiłem lwią część moich skromnych konwentowych funduszy.

Impreza rozpoczęła się od stania w dłuugiej i wolno przesuwającej kolejce po akredytacje. Mimo wszystko wspominam tą kolejkę miło, bo była integrująca (pозdrowienia dla grupy S.M.E.R.F.!) a poza tym uznaliśmy ją za znakomity LARP w konwencji PRLowskiej.

Potem było już tylko dużo atrakcji. Z naprawdę licznych konkursów organizowanych codziennie udało mi się zawędrować na konkurs wiedzy o wydawnictwie Marvel, oraz konkurs wiedzy o wydanych w Polsce tomach komiksu Sandman. W obu pytania były wymagające i ciekawe a nagrody jeśli nie rewelacyjne, to na pewno cieszące oko. Z innych konkursów warto wspomnieć sprawnościowe konkursy Wiedźmiński, Warhammerowy i Tolkienistyczny, kilka innych konkursów wiedzy o..., konkursy na projekt sztandaru Ad Astry czy konkurs na krótką formę komiksową (który, ku swojemu wielkiemu zdziwieniu wygrałem za scenariusz - choć po prawdzie większa tu zasługa rysownika Szymka Teluka).

Atrakcje pogrupowano w kilka bloków. Mnie najbardziej przypadł do gustu Blok Komiksowy, w którym można było posłuchać m. in. Tomasza "Humpla" Sidorkiewicza, cenionego redaktora merytorycznego wydawnictwa Egmont. Było też kilka dyskusji, w tym nostalgiczne wspominki po TM-Semic. Obok bloku komiksowego działał Blok Mangi, na który składały się m. in. warsztaty z japońskiej kaligrafii.

Prelekcje były na różnym poziomie. Niektóre, jak te Mateusza „Inkwizytora” Budziakowskiego, niezmiennie gromadziły tłumy i trzeba było szukać większych sal, by pomieścić wszystkich zainteresowanych widzów. Prelekcja Mateusza „Sekretna historia Polski” ubawiła mnie setnie i od tej pory czekam, aż Mateusz zacznie pisać w takim stylu książki (jeśli go kiedyś spotkacie, koniecznie spytajcie o opowieść o Samurajach ze Śląska). Z innych prelekcji - trafiłem na wykład poświęcony kitsune, czyli bóstwom podsywającym się pod lisy o wielu ogonach. Wiele ciekawych prelekcji, na które niestety nie dotarłem, wygłoszono w bloku naukowym i w bloku magicznym. W programie figurowały bardzo intrygujące tytuły wykładów, takie jak „Magia

cygańska”, „Mroczny Watykan” czy „Słowiańskie zaklęcia”. Nie dało się zobaczyć wszystkiego, a w każdej godzinie konwentu była przynajmniej jedna ciekawie zapowiadająca się prelekcja.

Jak zwykle na takich imprezach, odbyło się wiele spotkań z przedstawicielami wydawnictw, pism i portali internetowych oraz autorami książek. Wśród zaproszonych gości byli Jacek Dukaj, Marcin Mortka, Piotr Cholewa i Andrzej Pilipiuk.

Premierę miał komiks Igora Myszkiewicza „Robactwo”. Działyły księgarenki z fantastyką, można było nabyć akcesoria do bitewniaków oraz karty. Organizowano pokazy nowych gier bitewnych i karcianych, niekiedy tak spektakularne, jak pokaz Bitwy Pięciu Armii do bitewnego LOTRa.

Codziennie odbywał się przynajmniej jeden, a niekiedy trzy lub cztery LARPy. Organizatorzy prześcigali się w pomysłach, goniąc graczy po lasach, po zielonogórskiej starówce lub atakując bronią na kulki. Ja sam wziąłem udział w kolejnej odsłonie „Altdorf by Night” tym razem toczącej się w podziemiach przyświątynnego więzienia kapłanów Ulyrka.

Turnieje bitewniaków obserwowałem tylko przelotnie, ale wydaje mi się, że uczestnicy byli zadowoleni. Było dużo makiet i pól bitewnych. Figurki były w większości rewelacyjnie pomalowane. Atmosfera uniwersyteckiej palmiarni była bardzo klimatyczna, a w tle leciała doskonała składanka muzyki z filmów SF i fantasy.

Odbyło się również kilka turniejów karcianek, w tym oczywiście Magica a także L5R i WarCry. Organizatorzy byli tak mili i elastyczni, że mnie oraz garstce moich znajomych pozwolili napędce zorganizować turniej V:tESa i ufundowali nagrodę.

Jest już tradycją, że podczas zielonogórskich konwentów fantastycznych, lokalne obserwatorium astronomiczne organizuje pokazy nieba. Było tak i tym razem.

Wspominałem już o sali kinowej. W czasie konwentu wyświetlono "Podróż na Księżyc" z 1902 roku, "Nosferatu - Symfonia Grozy" z 1922 r., czy "Metropolis" z 1926 r. Dodatkowo prezentowano filmy zielonogórskiej grupy filmowej SKY Piastowskie.

O TYM, CO ZŁE

Jak to zwykle bywa, nie obeszło się bez kilku wpadek. Sporo prelekcji i spotkań zostało odwołanych lub przesuniętych na inne godziny. Sam przegapiłem kilka atrakcji, ponieważ przesuwane prelekcje kompletnie psuły mi plany. Kilku gości nie dojechało lub dojechało zbyt późno. Generalnie w sobotę byłem już porządnie wkurzony na niekonsekwentnych prelegentów, przez których odbijałem się od kolejnych drzwi obklejonych karteczkami z napisami: „Prelekcja nie odbędzie się z powodu ...”, „Prelekcja przesunięta na...”. Ostatecznie całkiem dałem sobie spokój z programem i szedłem na to, co akurat było pod ręką.

Zdecydowanie po macoszemu potraktowano gry fabularne (za wyjątkiem LARPów). Prelekcji było mało, salki do gry świeciły pustkami. Nie miała miejsce żadna premiera podręcznika ani dodatku (a w konwentowy weekend drukował się przecież nowy scenariusz do Monastynu). Nawet sklepiki świeciły pod tym względem pustkami.

PODSUMOWUJĄC

Konwent uważam za udany. Organizatorzy mogą sobie pogratulować, a konwentowicze nie będą chyba żałować wyprawy do Winnego Grodu. Na szczególne podkreślenie zasługuję wyjątkowa różnorodność oferowanych atrakcji. Od zwykłych prelekcji, spotkań i dyskusji, po niekonwencjonalne LARPy, zaskakujące konkursy, pokazy gier i filmów, pokazy nieba i wycieczkę do kompleksu bunkrów Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego.

Koryntianin (www.gildia.com)

Magia gołuchowskiego lasu



O „Ardzie” dowiedziałem się od pani Eithel z Bractwa Wtajemniczonych. Bałem się nieco, że nie wpasuję się w towarzystwo, ale przewidywałem, że taki zlot będzie czymś niesamowitym. Nie spodziewałem się tylko, że aż tak bardzo niesamowitym.

Gdy tylko wróciłem z obozu do domu, pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było przygotowanie stroju. Zdawałem sobie sprawę z tego, że zostanę Gondorczykiem, tak więc potrzebowałem odpowiedniej (czarnej, z Drzewem Gondoru) tuniki. Nie posiadam choćby znikomych zdolności krawieckich, dlatego kupiłem dwa duże, czarne tshirty i korzystając z wydrukowanego na sztywnym kawałku folii szablonu Białego Drzewa, które kiedyś narysowałem na stronę Bractwa (w końcu nie zostało wykorzystane), namalowałem je na koszulkach. Wziąłem dwie, na wszelki wypadek. Obciąłem jeszcze dół i rękawy w zębate blanki, do tego założyłem głany, czarne dżinsy i byłem gotowy. Co prawda, mój strój – jak się potem okazało – nie umywał się do kostiumu Gondina, który zrobił sobie całą zbroję łuskową, ale mogłem już jakotako wczuć się klimat.

Osobne zagadnienie stanowił dojazd. Według planu pierwotnego, miałem pojechać do mojego znajomego w Koszalinie, EllanoraEreba, elfa, i stamtąd dojechać do Gołuchowa. Niestety, moja Rodzicielka zaprotestowała czynnie, argumentując zakaz moim wiekiem (ledwie czternaście wiosen widziałem), odległością (z Koszalina do Gołuchowa w linii prostej jest jakieś 286 km, z Gdańska trochę więcej) i tym, że tylko we dwóch będziemy jechać. Dyskusję zakończył email od Cataractusa, w którym opisywał on najbardziej optymalną trasę z Gdańska do Gołuchowa, zahaczając o większość miast, z których pochodzą Ardowicze. Tak więc kolega przyjechał do mnie, zamiast ja do niego, i następnego dnia poszliśmy na dworzec PKP.

Wbrew moim oczekiwaniom, na dworcu nie siedział żaden krasnolud czy elf, ale zwykli podróżni. Z kartką z napisem „ARDA” pod pachą przedefilowaliśmy demonstracyjnie po peronie, ale nikt nie zwrócił na nas uwagi. Pytanie: „Kto z państwa jest z Rohanu?”, wydawało się nie na miejscu. Kiedy nadjechał pociąg, wsiedliśmy do niego bez towarzystwa. W przedziale do szyby od strony korytarza przyczepiliśmy kartkę z napisem „ARDA”. Jediną osobą „wtajemniczoną”, którą spotkaliśmy, był pewien chłopak, którego ardowego imienia już nie pamiętam, bo tylko się przywitał, przedstawił i poszedł dalej.

Nie było problemów z opuszczeniem pociągu na odpowiedniej stacji, bo mieliśmy przesiadkę w Poznaniu, a takie miasto trudno ominąć. Krawczyliśmy chwil parę nieco zagubieni po dworcu, szukając peronu i/lub informacji, kiedy spotkaliśmy Selwine, kobietę Rohanu, która wiedziała, skąd odjeżdża SKMka do Pleszewa, gdzie miał czekać jeden organizatorów. Podróż była krótka i zaskakująco się skończyła. Kiedy wyszliśmy z pociągu, zobaczyliśmy wielką tablicę z napisem „PLESZEWO” i grupę dziwnych ludzi siedzących w cieniu dworca: dziwnych dlatego, że jedna z dziewczyn miała na sobie strój Rohanu i zupełnie nie pasowała do otoczenia. Jak się dowiedzieliśmy, spotkaliśmy właśnie Flovena, elfa (przepraszam, jeśli przekreśliłem ksywkę), Burzash, orczycę i Legethien, Rohirrimkę. Mimo różnicy „ras”, bardzo się lubili i... koczowali na dworcu już dwie godziny, bo nie wiedzieli, co robić dalej, a organizatora jak nie było, tak nie było. Wzięliśmy więc plecaki i torby, i poszliśmy na tyły dworca, gdzie zobaczyliśmy przystanek autobusowy. Po kilku minutach studiowania planu jazdy ze zdziwieniem stwierdziliśmy, że zamiast w Pleszewie jesteśmy w Kowalewie Wielkim. Długo trawiliśmy tę wiadomość, zanim pewien kierowca przejeżdżającego autobusu nie powiedział nam, że Pleszewo jest większą miejscowością niż Kowalewo, ale nie mieli gdzie postawić tam dworca, bo miejscowość nie zahacza o tory... Tak więc byliśmy w Pleszewie, które było w Kowalewie. Na szczęście jakimś cudem (a właściwie autobusem) dojechaliliśmy do Pleszewa właściwego, a stamtąd do Gołuchowa.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, zaczęliśmy szukać ośrodka, w którym wszystko się działo. Kierowani „dresiarскими” piosenkami, dotarliśmy do płotu. Za płotem, kilkanaście metrów dalej był bar, z którego dobiegało jakieś „ymca, ymca”, a jeszcze dalej błyszczała zbroja Gondina, khazada. Trafiliśmy wreszcie na teren obozowiska. I na Ardę.

Pierwsze minuty nie minęły nam bynajmniej na walce ze złem, ale na rozkładaniu namiotu. Zorientowaliśmy się w sytuacji, która była nieciekawa. Okazało się, że jeden z organizatorów „nawalił” (dlatego mieliśmy problemy z dojazdem i znalezieniem organizatora), harcerze, którzy mieli „robić za orków”, nie przyjechali (przez co siły zła ograniczyły się do pięciu osób – czterech Nazguli i jednej orczycy), a na koniec okazało się, że dresiarze zrobili sobie imprezę w pobliskim barze, przez co musieliśmy cały dzień słuchać hitów rodem z „Disco Polo Live”.

Przebrałem się w strój i od razu poczułem się lepiej. Do wieczora trwało nawiązywanie kontaktów, walka na kije z Flovenem, załatwianie sobie śniadania (wkupiłem się w łaski pewnego Noldora, Sindara i Gondorczyka, którzy mieli butlę z gazem – wielkie *hannon le* dla nich!). Pod wieczór odbył się pochód pod głaz Erech, w trakcie którego Tarcil, kapitan Gondoru, uszkodził sobie kolano. Kilka osób pomogło mu dojść z powrotem do obozu, reszta ruszyła dalej. Dotarliśmy pod głaz... Wtedy zobaczyliśmy Gandalfa Białego, który aurą, jaką roztaczał, bardzo przypominał tego książkowego. Stał na szczycie głazu i przemówił do nas, informując o ważnej misji, jaką mieliśmy do spełnienia. Wracał z nami, a wszyscy odruchowo przyspieszali kroku, bo słyszeliśmy zbliżającą się burzę. Wtedy właśnie spotkaliśmy rannego hobbita (Toma), leżącego na środku drogi i atakowanego przez Nazgule. Gandalf rzucił się na nich i odgonił. Nie słyszeliśmy jednak wszystkiego, ponieważ niemal jak na życzenie rozpuętała się burza i trzasnęła piorun. Ta burza nie była specjalnie zamówioną u Saurona atrakcją, ściągnęła ją magia gołuchowskiego lasu.

Ruszyliśmy truchtem, nie ze strachu przed Nazgulami, ale dlatego że zaczął padać deszcz. Moja licha pelerynka szybko przemokła i mogłem ją wyzmacić. Bałem się o rzeczy, które zostawiłem przed namiotem. Okazało się, że niepotrzebnie, ponieważ dobra wróżka (czytaj: krasnolud, co został pilnować obozu) schowała je do środka. Deszcz tak samo nagle się skończył, jak zaczął, a my mogliśmy wyruszyć na plażę, gdzie elfowie opowiadali nam historię Włochyńców. Byłem jednak tego dnia bardzo zmęczony podróżą i wszystkimi, tak więc opuściłem towarzystwo i poszedłem do namiotu spać. Takie przynajmniej miałem zamierzenie... Lecz w kilka minut po zakopaniu się w śpiwór stwierdziłem, że przed namiotem mój współlokator, EllanorEreb, Legethien i jeszcze jakaś dziewczyna (nie pamiętam, ciemno było...) hałaśliwie gotują wodę na butli. Dołączyłem do nich, czując, że głód jest od zmęczenia



silniejszy. Trudno w to uwierzyć, ale te „ziemiaki puree” z serii „szybkich dań bez gotowania” były jednym z najlepszych posiłków, jakie jadłem. Później się rozbudziłem na dobre i stwierdziłem, że noc jeszcze młoda. Przespacerowaliśmy się na tamę na pobliskim jeziorze i z powrotem. Coś się tam jeszcze działo, ale chyba nie było to nic ciekawego, bo mi się w pamięć nie wryło...

Następnego dnia, tuż po śniadaniu zostaliśmy podzieleni na patrole (byłem w jednym z Toruviel, Tavionem i Elią) i ruszyliśmy w poszukiwaniu Silmarilli, mithrilu, athelasu i wody Entów – znalezienie tych artefaktów miało powstrzymać bitwę z siłami ciemności. Mimo iż w/w ograniczyły się do pięciu osób, dostatecznie utrudniały nam żywot, bo ten patrol, który został złapany przez Nazgule, a nie miał w składzie Noldora, tracił dwadzieścia cennych minut, ogarnięty Czarnym Tchem. Inną sprawą była obecność Gandalfa i Sarumana (obaj byli w bieli, jedyne co ich różniło, to laska trzymana w prawej lub w lewej ręce). O ile Sarumana trzeba było unikać, bo oznaczało to powrót do obozu, to Gandalf, jeśli znało się parę zwrotów w sindarinie, mógł pomóc, udzielając wskazówek.

W poszukiwaniu cennych artefaktów zapuściliśmy się na bagna, gdzie Toruviel wpadła w niezłe bagno (dosłownie i w przenośni). Próbowaliśmy jej pomóc, ale stwierdziła, że woli wyjść z tego cało i wyostała się sama. Wtedy się rozłączyliśmy. Elia i Tavion poszli w jedną stronę, ja z Toruviel w drugą. Gdy wróciliśmy, okazało się, że wszystkie artefakty zostały odnalezione, poza athelasem. Wybraliśmy się po niego wieczorem, kiedy już nieco odpoczęliśmy i odbyliśmy m.in. turniej łuczniczy (w którym ani razu w tarczę nie trafiłem) i ćwiczenia

w ścinaniu orkowych łbów (z powodu braku orków sami zrobiliście sobie jednego). Co prawda ork miał krawat w białoczerwone pasy, ale...

Pod wieczór udaliśmy się w poszukiwaniu athelasu. Byliśmy jednak w innym składzie niż poprzednio, bo szedłem ja, Noldor, u którego jadałem śniadanie, Legethien z Rohanu i jeszcze ktoś (amnezjo, przyjaciółko moja!). Po kilkunastu minutach chodzenia po lesie spotkaliśmy trzech krasnoludów, którzy wyjątkowo głośno śpiewali swój megalit: „Kiedy kładzie idzie drogą...”. Sciągali w ten sposób Nazgule, ale my się ich obawiać nie musieliśmy, jeśli by wyskoczyli z mroku, bo mieliśmy Noldora. Akurat kiedy obawialiśmy się... o nasze bębni wyskoczyły Nazgule! Pierwszy raz się cieszyłem, że ich spotkałem! Jednak odruchy typowe ludzkie działały – Legethien i „tenktóreoksywkwizapomniałem” uciekli parę kroków, zanim oprzytomnieli, że nie muszą. Khazadzi tak szybko zwiali, że przeciąg poderwał płaszcz Noldorowi. Wyżej wymieniony wyjął spokojnie zza paska drewniany sztylet, złapał go za klingę i wystawiwszy w kierunku sił zła, krzyknął władcym tonem: „MAM KRUCYFIKS!!!”. Ja natomiast, schowany za połą jego płaszcza wymamrotałem: „Jestem z nim! Jestem z nim!”. Nazgule były bardzo zawiedzione, że nas nie mogą pogonić, więc udały się razem z nami w kierunku głazu, po drodze jak na śmiertelnych wrogów przystało rozmawialiśmy o polityce. Później dotarliśmy do reszty Wolnych Plemion i ruszyliśmy w las szukając athelasu. Odnalazłszy go, daliśmy go Tarcilowi. Tymczasem został mianowany królem, ale kolano bolało go nadal...

Miłą niespodzianką okazało się to, że Vand ułożył już ognisko, jedno z tych, które się rozpała jedną zapałką. Zabawa była przednia każdy próbował swoich sił w śpiewaniu, a Aka układała rymy adekwatne do sytuacji. Takie krótkie, czterowersowe, głównie o trunkach i zabawie, jak na wesołą hobbitkę przystało. Jednak tej nocy naprawdę nie czułem się na siłach (bynajmniej nie z powodu trunków) i poszedłem spać. Później tego żałowałem, bo inni wspominali jakieś hece z jedzeniem kiełbasek, skakaniem przez ogień i problemami z utrzymaniem pionu.

Trzeci dzień powitał nas radosną nowiną, że w nocy wykradzono Silmarille, skutkiem czego bitwa okazała się nieunikniona. Z braku przeciwników część elfów (!!!) przeszła na stronę Nieprzyjaciela, stając się orkami, a Valinheru (główny organizator i inicjator zlotu) zmienił się w podłego Ashata.

Bitwa została przyjęta na schnącej zatoczce jeziora, gdzie było sporo błocka, w którym można się taplać. Każdy dostał kilka (w zależności od ilości artefaktów zdobytych w czasie patroli) „rzemieni życia”. Na samym początku bitwy rzuciłem się na Valina, który mnie zabił jednym ruchem (zerwał pasek z rzemieniami życia), więc oddaliłem się na stosowną odległość. A mogłem zginać później, gdybym się rzucił na kogoś innego... Było, minęło, w przyszłym roku będę bardziej rozsądny.

Po bitwie mieliśmy trochę czasu na wykruszenie błota z ciuchów i umycie się, po czym udaliśmy się pod zamek gołuchowski. Zrobiliśmy sobie tam rodzinne zdjęcie. Fotki pstrykał Ponury – Nazgul – którego obszerna szata wreszcie na coś się przydała – pomieściła wszystkie aparaty. Potem rozsiedliśmy się na trawie po obu stronach ścieżki. Ludzie z niewiadomych powodów omijali nas szerokim łukiem. Zrobiliśmy też szpaler dla przechodzącej młodej pary.

Potem nasz skład zaczął tępnieć, ale całkiem sporo osób zostało jeszcze na pożegnalnym ognisku, które trwało do czwartej, następnie zostało ponownie rozpalone o piątej w czasie jedzenia śniadania przez mnie i Legethien (nudziłem się i nie byliśmy śpiący). Poszliśmy też szukać wschodzącego słońca, ale widać, że wstąpić po zwycięskiej bitwie z siłami ciemności ale w żaden sposób go znaleźć nie mogliśmy, więc poszliśmy spać.

Następnego dnia ludzie zaczęli się rozjeżdżać do domów. Do Kalisza, Gdyni, Białegostoku, Starogardu Gdańskiego, Koszalina, Gdańska, Gliwic... Wszystkich połączył J.R.R. Tolkien. Ciekawe, czy gdy pisał: „W pewnej norze ziemnej mieszkał sobie pewien hobbit”, zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Na pewno nie przewidział, że tworzy kultową książkę i następne pokolenia będą nią żyły, jak my na „Ardzie 2004”.

Poznałem tam wspaniałych ludzi, którzy zjechali do Gołuchowa tylko po to, aby spotkać innych, których Tolkien też fascynuje. Ile kilometrów dzieli te osoby? Z Koszalina do Tarnobrzegu jest 550 kilometrów. Gdyby nie Arda, ci ludzie, mający podobną pasję, może nigdy by się nie spotkali...



Jakub Dysarz – Syriusz
„Bractwo Wtajemniczonych”

Czarodzieje i mugole

Relacja z Ogólnopolskiego Zlotu Czarodziejów w Poznaniu

To był pierwszy tak dobrze zorganizowany zlot czarodziejów, miłośników książek i filmów o przygodach Harry'ego Pottera. Tego dnia Poznań został zaczarowany. Około 2000 osób w szatach obserwowało zaskakującą inscenizację. Najbardziej magiczny był jednak pochód, w którym mugole oglądali triumf tysięcy młodych ludzi o niezwykłej wyobraźni.

Dzień przed Zlotem Czarodziejów miałem okazję uczestniczyć w debacie poświęconej Harry'emu Potterowi i całej literaturze fantastycznej. Właściciel Wydawnictwa Media Rodzina, pan Robert Gamble, i redaktor naczelny wydawnictwa, pan Bronisław Kledzik, przedstawicielki Instytutu Pomocy Pozaszkolnej, poloniści, księża dominikanie i rodzice rozmawiali w restauracji Etiuda o zagrożeniach, które może stanowić przepełniona czarami literatura fantastyczna.

W dzień później przeniosłem się do świata magii dokładnie z dwunastym uderzeniem poznańskich koziołków. Na rynku zebrało się około 2000 ubranych w magiczne szaty uczestników, którzy stali się świadkami niezwykłych wydarzeń. Wystrzał z armaty oszołomił wszystkich, z Ratusza wytoczono kosz na śmieci, z którego wydostał się Bogin przemieniony w Dementora. Wszyscy zebrani starali się rzucić na niego skuteczne zaklęcie. Na stłoczonych na Rynku młodych czarodziejów spadły tysiące karteczek z informacją, że oto Zlot się rozpoczął. Pośród nich odnaleźć można było magiczne listy zamknięte specjalnym czerwonym lakiem. Następnie organizatorki poprowadziły całą rzeszę uzbrojonych w różdżki czarodziejów do Księgarni Powszechnej. Tam czekała na nich znana aktorka Krystyna Feldman, jurorka konkursu dotyczącego czytania Harry'ego Pottera. W tym samym miejscu urządzono wielkie słuchowisko – odpoczynek przy wspaniałej książce. Na Rynku odbył się także pokaz taekwondo, a czarodzieje i czarodziejki mieli okazję spróbować swych sił w zawodach przeciągania magicznej liny.

Najważniejszym punktem programu był jednak przemarsz ulicą Półwiejską. Czarodziejów podzielono na cztery Domy i przydzielono im prefektów. Ruszył potężny korowód z samochodami Smart i huczną orkiestrą harcerzy na czele. Wszędzie unosiły się bańki mydlane, podczas pochodu w tłum wpadali także Dementorzy goniący nieszczęśliwą ofiarę. Wszyscy podziwiali niezwykłą inscenizację, skandowano głośno hasło tego zlotu: I niech magia trwa!

Następnie swoje wrota otworzyło Multikino, a tam czekała na fanów sowa poczta i uzbrojeni kaci (fani książek Andrzeja Sapkowskiego). Stowarzyszenie Katów i Oprawców z naczelnym katem stolicy, Szkotem, miało tego dnia swoje zebranie. Oprócz tego harcerze zorganizowali wiele konkursów, a przed Multikinem odbył się pokaz ratownictwa (w końcu ratowanie życia to też magia). Tu nie można nie opisać Letniej Szkoły Magii i jej szefa Dyrca. Przedstawiciele Szkoły pojawili się na Zlocie i przywieźli ze sobą polską znaną grupę iluzjonistyczną, Metamorphosis. Przed maratonem filmów o Harry'm Potterze



zaprezentowali oni swój popisowy program. Złot zakończył się maratonem wszystkich trzech filmów o Harrym Potterze. Kopie pierwszego i drugiego filmu przyjechały prosto z Anglii - następny pokaz tych filmów może nastąpić dopiero za 11 lat.

Wszyscy uczestnicy spodziewali się gwiazd. Niestety tym razem się nie udało, chociaż organizator Złotu, firma Iwen, była bardzo blisko zrealizowania swoich ambitnych planów. Jak wiadomo, wielu aktorów żąda astronomicznych sum pieniężnych (należy zaznaczyć, że Centrum Artystyczno-Rekreacyjne IWEN zorganizowało imprezę społecznie), na które organizatorzy nie mogli sobie pozwolić.

Złot był w niektórych miejscach nieskoordynowany. Warto wspomnieć, że pewien aktor podczas konkursu czytania z panią Feldman zniesmaczył wielu nieznanymi swoją rolę. Zawiodło także Multikino, gwarantując plastyka, który miał przystroić kino w galerię ruchomych obrazów. Delikatnie mówiąc, zaprezentował on wystrój nieodpowiedni. Gdy panie z Iwenu rano, w dzień Złotu zawiąły do Multikina, personel dziwił się, że coś takiego w ogóle jest tu organizowane. Rozczarował także polski oddział Warner Bros - swoją bezwzględną nieprzychylnością. Pracownicy Warnera objawili wyłącznie niechęć do całego przedsięwzięcia i nie okazali właściwie żadnej pomocy. Konieczne było zwrócenie się aż do samego Londynu; tamtejszy WB przysłał do Polski rolki z I i II częścią filmowej adaptacji Harry'ego Pottera. Organizatorzy żałują, że na tym wspaniałym zlocie nie mógł się pojawić tłumacz Andrzej Polkowski, który - jak zapowiedział - przebywał w miejscu nienanoszalnym (według J.K.Rowling: w miejscu nieokreślonym na mapie i niemożliwym do znalezienia bez pomocy wtajemniczonych). Nie popisał się także Wiktor Zborowski, nowy lektor płytowych wersji z cyklu o Harrym Potterze, który nieoczekiwanie powiadomił, że nie ma zamiaru przerywać urlopu i odmówił przyjazdu.

Prasa wypowiedziała się o Zlocie bardzo dobrze, jednak fanów oburzył jeden artykuł, który w dzień po imprezie ukazał się w Gazecie Wyborczej. W związku z niedorzecznościami opisanymi w artykule wysłaliśmy do autorki list otwarty, napisany w imieniu fanów.

Był to pierwszy Złot zorganizowany przez fanów dla fanów, zupełnie bez nakładów finansowych i w tak wielkiej skali. Miłośnicy przygód małego Czarodzieja udowodnili jak wielka jest ich moc, wyobraźnia i oddanie dla świata stworzonego przez J. K. Rowling. To dopiero początek, ponieważ organizatorzy zamierzają organizować kolejne tego rodzaju zloty. Ogólnopolski Złot Czarodziejów będzie odbywał się co roku. Jest niemal pewne, że następne zloty będą odbywać się z udziałem ważnych osobistości działających w polskim i zagranicznym potteryzmie.

Wszystkich zainteresowanych Ogólnopolskim Zlotem Czarodziejów w Poznaniu odsyłam na bloga firmy Iwen: www.iwen.blog.onet.pl, gdzie zamieszczone zostały najważniejsze informacje o przedsięwzięciu oraz fotografie.

Grzegorz „Gryfek” Słowiński (www.gildia.com)



Zdjęcie publikujemy dzięki uprzejmości firmy Iwen.

NIUSY

LAUREACI HUGO 2004

4 września, podczas 62 Światowego Konwentu Science Fiction w Bostonie, ogłoszono listę laureatów tegorocznej Nagrody HUGO. W najważniejszych kategoriach wyróżniono nią:

- » w kategorii powieści – Lois McMaster Bujold za „Paladin of Souls”,
- » w kategorii mikropowieści – Vernor Vinge za „The Cookie Monster”,
- » w kategorii dłuższego opowiadania – Michaela Swanwicka za „Legions in Time”,
- » w kategorii opowiadania – Neila Gaimana za „A Study in Emerald”.

MJS



"MAGAZYN FANTASTYCZNY" #2

Ukazał się nowy numer radomskiego "Magazynu Fantastycznego"; a w nim: fantastyka, publicystyka, komiks.

W drugiej części artykułu o historii polskiego komiksu fantastycznego – Witold Tkaczyk wspomina m.in. o "Wampiurs Wars" (w tym o remake'u).

red.

ODSZEDŁ NESTOR POLSKICH KRYTYKÓW FILMOWYCH



Zmarł Zygmunt Kałużyński – krytyk charyzmatyczny, kontrowersyjny, wielki. Człowiek, który z jednakową pasją potrafił pisać o Fellinim, Bergmanie i Antonionim – jak o Spielbergu, Lucasie i Zemeckisie.

Wszystkim wielbicielom X Muzy będzie Go bardzo brakowało...

red.

WORLDCON W JAPONII

Wybrany został organizator Worldconu 2007. Odbędzie się on w Japonii, w Yokohamie.

(info Piotra W. Cholewy)

SZOLC I WOLSKI W „SOLARIS”

W listopadzie nakładem Agencji Wydawniczej „Solaris” ukażą się dwie powieści polskich twórców: „Opętanie” Izabeli Szolc (według wydawnictwa „trzymająca w napięciu zapis egzorcyzmów, powieść polemizująca z »Dzieckiem Rosemary« czy »Egzorcystą«”) oraz „Bogowie jak ludzie” Marcina Wolskiego – „historia nadczłowieka, właściwie półboga, napisana przez autora zupełnie od nowa, całkowicie przemeblowana”.

MJS

SAPEK POWRÓCIŁ...

... drugim tomem swojej nowej trylogii, „Bożymi wojownikami”. Książkę można już dostać w księgarniach.

MJS

NOWA POWIEŚĆ HUBERATHA

Marek S. Huberath, jeden z najlepszych polskich pisarzy tworzących fantastykę, zapowiedział wydanie nowej powieści. Ukaże się ona nakładem szacownego Wydawnictwa Literackiego.

MJS

NOWOŚCI „RUNY”

W księgarniach pojawiły się trzy nowe książki Agencji Wydawniczej „RUNA”. Pierwszą jest zbiór opowiadań Izabeli Szolc „Jehannette”. Drugą – „Poszarpane granie” Wita Szostaka, kontynuacja bardzo dobrze przyjętych „Wichrów Smnoczogór”. Według agencji jest to „historia o czartach, które wykradają ludziom dusze i o młodym góralu Koredzie, próbującym ocalić swoich bliskich”. Ukazała się też powieść Tomasza Piątka „Elfy i ludzie”, kontynuacja „Zmij i kretów” oraz „Szczurów i rekinów”.

Na ostatnie miesiące roku wydawnictwo zapowiada „Wojnę runów” Marcina Mortki.

MJS

W „FABRYCE” TEŻ NOWOŚCI

Nakładem Wydawnictwa „Fabryka Słów” ukazał się zbiór najlepszych opowiadań Andrzeja Ziemiańskiego „Zapach szkła”. Zawiera m.in. dwa utwory nagrodzone „Zajdlami” – tytułowy „Zapach...” i „Autobahn nach Poznań” – oraz nominowane do nagrody „Wanilowe plantacje Wrocławia”.

W najbliższym czasie fabrykanci opublikują m.in. trzeci tom popularnej „Achai” Andrzeja Ziemiańskiego. W planach na jesień są też zbiór opowiadań różnych autorów „Małodobry”, powieść Anny Kańtoch „Miasto w zieleni i błękiecie”, „Opowieści z dzikich pól” Jacka Komudy, „Miecz aniołów” Jacka Piekary i „Krzyżacki poker” Dariusza Szychalskiego.

MJS

**TOLKIEN BIJE BIBLIĘ**

„Władca Pierścieni” J. R. R. Tolkiena wygrał plebiscyt drugiego programu telewizji ZDF na najpopularniejszą książkę Niemiec. Drugie miejsce zajęła Biblia. W badaniu wzięło udział 250 tysięcy osób.

MJS za film.onet.pl

**„ZNAK” O TOLKIENIE**

Miesięcznik „Znak” znaczną część wrześniowego numeru poświęcił twórczości J. R. R. Tolkiena. Na jej temat wypowiadają się m.in. Wit Szostak, ojciec Joachim Badeni i Tadeusz Olszański.

MJS

TERMINATOR 4: PRACA WRE

Scenarzyści John Brancato i Michael Ferris zakończyli prace nad czwartą częścią „Terminatora”.

Szanse na powrót Schwarzeneggera – ze względu na obowiązki gubernatora Kalifornii – są niewielkie, jednak „Schwarzy” może się pojawić w roli epizodycznej. Nie wiadomo, kto będzie jego następcą, ani też czy w filmie wystąpią odtwórcy głównych ról w „Buncie maszyn”, Nick Stahl i Claire Danes.

film.onet.pl, MJS

„DZIECKO ROSEMARY” SERIALEM

Telewizja ABC ma zamiar nakręcić krótki serial na motywach kultowego horroru Iry Levina „Dziecko Rosemary”, sfilmowanego przez Romana Polańskiego. Ma on trwać cztery godziny. W przypadku wysokiej oglądalności planuje się również ekranizację „Syna Rosemary”, kontynuacji książki.

film.onet.pl, MJS

**„KOSMICZNE JAJA” KONTRATAKUJĄ!**

Mel Brooks – największy prześmiewca współczesnego kina, reżyser „Robin Hooda: „Facetów w rajtuzach” i „Płonących siodeł” – zamierza nakręcić kontynuację „Kosmicznych jaj” z 1987 r., parodii „Gwiezdných wojen”. Obecnie pracuje nad scenariuszem filmu, w którym ma zamiar zagrać; w pierwszym filmie wcielił się w postać Prezesa Scrooba. Brooks chciałby, aby „Kosmiczne jaja 2” ukazały się tydzień przed premierą trzeciej części serii George'a Lucasa.

MJS za film.onet.pl

„KORALINA” NA DUŻYM EKRANIE

„Koralina”, wielokrotnie nagradzana powieść Neila Gaimana, zostanie zekranizowana. Firma Vinton Studios nakręci na jej podstawie film animowany.

MJS

„PRZESIADKA W PIEKLE” W PROMOCJI

Książki Andrzeja Ziemiańskiego sprzedają się świetnie, ale Dom Wydawniczy Ares rozpoczyna sezon jesienny od organizacji sporej promocji dla pierwszej z serii książek zaplanowanych na ostatni kwartał bieżącego roku.

17 września w sieci EMPIK rozpoczęła się promocja „Przesiadki w piekle” Andrzeja Ziemiańskiego. Ten tytuł, jako pierwszy w Żółtej Serii, można będzie kupić we wszystkich salonach sieci na terenie kraju (wraz z nim trafiły też do tych punktów wcześniejsze pozycje z serii). W dużych salonach książka trafi do tzw. stref wzmoczonej sprzedaży i na stoły promocyjne. Od 22 września ruszyła także promocja w siedemdziesięciu wybranych księgarniach Matrasa. W ramach tej promocji „Przesiadkę w piekle” promować będą ulotki reklamowe oraz plakaty formatu B2.

Robert Szmidt

(informacja z www.gildia.com)

CAMERON EKRAKIZUJE MANGĘ

Reżyser James Cameron interesuje się ostatnio mangą; ma zamiar zekranizować komiks „Battle Angel Alita” autorstwa Yukito Kishiro.

MJS

**DNI KULTURY – TAKŻE KOMIKSOWEJ**

W dniu 24 września odbyła się w wejherowskim Starostwie inauguracja Dni Kultury Powiatu. Obok uroczystej sesji – program obejmował kilka wystaw i koncertów. Imprezy odbywały się w samym gmachu Starostwa oraz w przyparkowym pałacu-muzeum.

Zaprezentowana została m.in. część dorobku wejherowskich komikarzy: PiPiDżej wystawił całe „Wampiury” (ponad 100 plasz A4 zajęło jedną ścianę b. sali gimnastycznej), a prace Tomka Meringa, Kuby „Homika” Sobiczewskiego i (zmarłego niedawno) Piotra „Globusa” Sychty zawisły w salce obok – zresztą bardzo przypominającej karcer: drzwi z judaszem, okno opancerzone jak sejf, ściany odbrapanie i brudne niczym słynne tło czeskiego fotografa Jana Saudka.

Obok komikarzy wystawili się miejscowi artyści plastycy, fotograficy oraz twórcy ludowi (notabene w salce z „Wampiurami” wyładowało kilka rzeźb z priapicznymi diabłami – gdyż głupio by było ustawić owe motywy falliczne obok postaci świętków czy Ceynowy i Abrahama!).

red.

Martyna donosi z Neverlandu

M.M.: Prowadzisz chyba jedyny w kraju radiowy program poświęcony fantastyce...

M.P.: W tej chwili chyba faktycznie jedyny. Jeszcze jakiś czas temu podobną audycję można było usłyszeć w Radiostacji, zdaje się, że również w Zetce pojawiał się program zajmujący się zjawiskami paranormalnymi. Ale faktycznie, Neverland w poznańskim Radio Afera jest jedyną audycją fandomową. A ponieważ jest to rozgłoszenia studencka Politechniki Poznańskiej, to chyba właśnie dlatego mogliśmy w ogóle zaistnieć z programem o takim profilu. No i tak dla ścisłości – jestem jedynie współredaktorką, obok Jakuba „Mieszaua” Marszałkowskiego, z którym pracujemy już od ponad trzech lat i Michała „Kanedy” Czapskiego, który dołączył do nas w ubiegłym roku.

M.M.: Jak wygląda wasz program?

M.P.: Neverland, czyli wszystko o fantastyce: filmy, książki, gry, wywiady, konwenty... Oj, sorry, to fragment zajawki. Ale mniej więcej o to chodzi. Informujemy i recenzujemy nowości, podajemy terminy i szczegóły dotyczące rozmaitych imprez okółfantastycznych, przeprowadzamy też konkursy, w których można wygrać nowości wydawnicze, zwykle przesyłane nam przez samych autorów, czy wejściówki na konwenty. A ponieważ nikt nas nie sponsoruje, możemy mówić, co nam się żywnie podoba.

M.M.: Jak licznych macie odbiorców?

M.P.: Trudno powiedzieć, bo generalnie gdy ktoś już włącza to radio na ulubioną stację, to słucha wszystkiego jak leci. Ze względu na to staramy się zachęcać do fantastyki ludzi, którym z tym tematem kojarzą się tylko Lem i może Tolkien. Chcemy pokazać, że fantastyka to nie tylko wielkie produkcje kinowe, ale ruch, który ogarnia praktycznie wszystkie środowiska i który trudno już traktować jako niszowe dziwactwo. No i chcielibyśmy, żeby ludzie, widząc np. poprzebieranych LARPowców, nie krzydzeli od razu, że to sataniści.

M.M.: Gdzie i kiedy można posłuchać tej audycji?

M.P.: Kiedy – każda sobota o 18.00. A gdzie – to już gorzej... Radio Afera jest lokalną, poznańską rozgłosnią, czyli: 98.6 Poznań. Ale można nas słuchać przez internet, adres to www.afera.com.pl.

Oto wywiad, który przeprowadziłam sama ze sobą na prośbę Marka Michowskiego. Wyrażam zgodę na jego publikację w Informatorze GKFu itd. Ew. uwagi proszę zgłaszać mailem: martyna.plisenko@afera.com.pl. Chociaż nie mam zamiaru się obrażać, jeśli to skróćcie, czy zrezygnujecie z publikacji.

Pozdrawiam serdecznie –
Martyna Plisenko



Z ARCHIWUM PIPIDŹEJA



W początkach września 1987 r. odbyła się w Bieszczadach (Bystre koło Baligródu) Ogólnopolska Konferencja Estetyczna „SF w kulturze współczesnej”. Organizatorami tego interdyscyplinarnego spotkania naukowego były Zakłady: Estetyki (Uniwersytetu Jagiellońskiego) i Nauk Społecznych (Politechniki Rzeszowskiej). Poniższy referat jest specjalnie zaadaptowanym fragmentem jednego rozdziałów pracy magisterskiej JPP (w całości poświęconej literackiej kategorii przestrzeni w fantastyce naukowej).

WĘDRÓWKA, UCIECZKA, POZNANIE. PRZEMIANA BOHATERA SCIENCE FICTION

Bohater utworów fantastycznonaukowych (i sposób jego prezentacji) zmieniał się wraz z ewolucją tej literatury. Bohaterem wczesnej fantastyki był przeważnie samotny naukowiec, często w utworach tych można było dostrzec relacje charakterystyczne dla fantastyki grozy (odludzie, nocna sceneria itp.). W miarę klarowania się kanonów SF oraz postępujących odkryć naukowych akcja nowel i powieści przenosiła się w coraz odleglejszą przyszłość i na coraz odleglejsze światy, najczęściej zaś spotykany bohater to już nie samotnik, lecz członek ekspedycji. Tendencja ta doprowadziła nawet do zubożenia tematyki – tak różnorodnej np. w opowiadaniach Herberta George’a Wellsa – na rzecz niemal wyłącznie gwiazdnych wypraw. Dopiero później, gdy motyw ten już nader wyeksploatowano, a zainteresowania twórców zwróciły się także ku „kosmosowi wewnętrznemu” – skala protagonistów SF ponownie się poszerzyła.

Jeszcze do niedawna typowym bohaterem SF był niezłomny badacz z klasycznej space fiction („fantastyki kosmicznej”) i nieustraszony heros ze space opery („kosmicznego westernu”). Schematyczność podobnego bohatera widać najlepiej w utworach będących cyklem pojedynczych fabuł powiązanych osobą protagonisty przeżywającego coraz to inne przygody. Mimo że akcja każdego z utworów toczy się w innym miejscu, a fabułę konstituuje inna intryga – bohater ten nie zmienia się: zawsze nieustraszony, niepokonany i... pozbawiony refleksji nad przeżyтыми zdarzeniami. Nawijając do podziału dokonanej przez Jurija Łotmana takiego bohatera można nazwać „bohaterem stepu”; cała modyfikacja polega na tym, że owym stepem stała się galaktyka. Za „bohatera drogi” również trudno uznać typowego podróżnika ze space fiction – mimo iż jego wędrówka to droga wiodąca przez kosmos – gdyż ma on zwykle też wrażliwość, co pilotowana przezeń rakietą.

Ów uproszczony obraz bohatera wynikał nie tylko z faktu, że science fiction była (i przeważającą masie pozostaje) literaturą czysto rozrywkową, nawiązującą do starych Gernsbackowskich wzorów, lecz również z tego, iż – jak zauważył John Baxter – właściwym „bohaterem” fantastyki naukowej są raczej zjawiska czy idee, mniej zaś poszczególne jednostki. Początek zainteresowania bohaterem jako podmiotem datuje się właściwie od lat sześćdziesiątych, od „Nowej Fali” w SF. Jeden z jej współtwórców, J.G. Ballard, stwierdził ongiś, że „jedyną naprawdę obcą planetą jest Ziemia”. „New Wave” to prąd literacki łączący awangardowe poszukiwania z science fiction. Jego najbardziej charakterystyczną cechą było zwrócenie się ku „kosmosowi wewnętrznemu” samego człowieka. Podobne ujęcie wykreowanych bohaterów było novum na gruncie science fiction: dotąd pojedynczy bohater służył raczej jako „model”, „szczur w labiryncie”.

Andrzej Zgorzelski zauważa np. że postacie z *Wehikułu czasu* H.G. Wellsa są stworzone zgodnie z tradycją klasycznej utopii jako typy, nie znamy nawet ich nazwisk. Podobny zabieg znajdujemy jeszcze w *Edenii* Stanisława Lema (występują tam m.in. Inżynier, Fizyk, Chemik, Cybernetyk). Od czasu Nowej Fali coraz częściej spotykamy w SF postacie wykreowane jako indywidualności: nie tylko działające, ale i myślące, przeżywające, bliskie postaciom ze współczesnej prozy psychologicznej. Wynika to również z odejścia od Verne'owskiej fascynacji techniką, z zainteresowania takimi naukami jak psychologia, socjologia itp.

Wizerunek bohatera literatury fantastycznonaukowej został zresztą współcześnie nie tylko treściowo „pogłębiany”, ale również fabularnie „poszerzony”: protagonista nie musi być już nawet człowiekiem, czytelnik zaś od razu znajduje się w „środku wydarzeń” (brak charakterystycznego dla klasycznej fantastyki „wprowadzania” w świat przedstawiony) – i to on jest w pewnym sensie „przybyszem z zewnątrz”. Bohater ukazany w science fiction może różnić się od bohatera utworu „realistycznego” pod trzema względami. Są to:

I. Przynależność do określonej kategorii postaci.

Wyróżniamy wyobrażenia:

1. Ludzi (wzorowanych na dzisiejszych; stanowiących wyższe ogniwo ewolucji; cyborgów – o organizmach zastąpionych konstrukcjami sztucznymi; ludzkich klonów; zdegenerowanych genetycznie mutantów),

2. kosmitów (humanoidalnych; niehumanoidalnych – wzorowanych np. na owadach; niehumanoidalnych – wyobrażonych jako istoty niepodobne do żadnego organizmu ziemskiego; niehumanoidalnych, z którymi kontakt jest niemożliwy; nadistoty),

3. robotów (naszych, tj. skonstruowanych przez ludzi; cudzych; „samodzielnych”).

II. Przynależność czasowa (fikcyjna przyszłość; fikcyjna przeszłość; fikcyjna teraźniejszość; alternatywny bieg czasu).

III. Przynależność do określonej przestrzeni fantastycznej (wyobrażenie np.: Ziemi; obcej planety; statku kosmicznego; świata alternatywnego; kosmosu wewnętrznego; utworu literackiego).

Podobną ewolucję przeszły przejęte przez science fiction wątki i archetypy. Wędrowka, wyprawa, ekspedycja jest jednym z tych najczęściej spotykanych. Prezentowane motywacje są różnorakie: pogoń za zyskiem, walka, ucieczka – lecz zwykle jest to chęć poznania. W klasycznym modelu fantastyki naukowej widzimy dobrze zorganizowaną ekspedycję w uporządkowanym kosmosie (przykładem może być Lemowski *Obłok Magellana*). Później motyw ten ulega różnym zmianom. Nabiera też zupełnie innej wagi.

Bohater wędrujący z czasem przestaje być monolitycznym badaczem-inżynierem czy supermanem-zabijaką. Z nie zmieniającego się bohatera stepu przeobraża się w Łotmanowskiego bohatera drogi. Jego wędrowka to także poznanie samego siebie, zmiana zarówno wiedzy o świecie, jak i stosunku do życia. Z drogą nierozdzielnie jest związane też opuszczenie swojego otoczenia (co zauważył Łotman omawiając prozę Gogola). Poszukajmy przykładów podobnych bohaterów...

Za bliską kreacji bohatera drogi uznać można postać studenta Franza M. z opowiadania J.G. Ballarda *Miasto koncentracyjne*. Tytułowe miasto to gigantyczny, zbudowany pod powierzchnią planety twór – tak stary i rozległy, że jego mieszkańcy od wieków uważają go nie tylko za cały świat, ale wręcz za jedyną możliwą formę świata. Główny bohater utworu buduje maszynę latającą (pierwszą od milionów lat) – i ta nasuwa myśl o przestrzeni całkowicie otwartej. Nikt nie rozumie jego „manii”, a koncepcję otwartej przestrzeni wszyscy uważają za abstrakcyjny sofizmat. Zdesperowany Franz próbuje uciec z miasta. Mimo porażki przewyższa wszystkich pozostałych mieszkańców: jako jedyny wyrasta swym sposobem myślenia ponad ograniczenia wytworzone w psychice przez wielowiekowe bytowanie w zamknięciu.

Z kolei bohater opowiadania Andrieja Pieczeniżkiego *Metro* umyka wprawdzie z podziemnego miasta, którego mieszkańcy poddani są totalnej kontroli – lecz prędko wraca, licząc na łagodną karę.

Nieco inną wymowę ma powieść Arthura C. Clarke'a *Miasto i gwiazdy*. Ukazane w tym utworze „supermiasto” Diaspar jest wykreowane jako twór niezniszczalny i wieczny za cenę stagnacji: nie następują w nim żadne zmiany („nieśmiertelne” Diaspar wydało nieporównywalnie mniej indywidualności niż wcześniejsze, wciąż odradzające się, „śmiertelne” cywilizacje), ludzkość zaś rezygnuje z marzeń o gwiazdach (ma zakodowaną fobię otwartej przestrzeni). Zresztą nurt dystopii opisujących nie nędzę materialną i policyjny terror, lecz modele społeczeństw, które osiągnęły dobrobyt i pokój za cenę jakiegoś „drobnego” okaleczenia natury ludzkiej, jest szczególnie interesujący. Zauważyć bowiem należy, że ludzie poddani podobnym zabiegom doceniają płynące z nich korzyści i nie czują się bynajmniej upośledzeni. Opisy podobnych praktyk wydają się więc przykładami bardziej skłaniającymi czytelnika do refleksji niż wszechobecne oko Wielkiego Brata.

Bohater J.G. Ballarda nie zdołał wyjść na otwartą przestrzeń, jego wyprawa wróciła do punktu wyjścia. Za to w *Non stopie* Briana W. Aldissa wędrowka protagonistów przynosi im zgola rewelacyjne poznanie. Bohaterowie tej powieści – dwudzieste trzecie pokolenie członków wyprawy kosmicznej – nie zdają sobie w ogóle sprawy, że znajdują się wewnątrz sztucznego tworu: statku kosmicznego. Statek jest zaniedbany, zarosnięty glonami; w jego części rufowej rozmaite plemiona wiodą koczowniczy, myśliwski żywot. Jeden z myśliwych odnajduje plany statku i postanawia zawiązać sterownią. Główny bohater – Roy Complain – nie wierzy w te rewelacje, jednak towarzyszy mu. Posuwając się coraz dalej, przez kolejne (nie domyślane nawet) pokłady, stopniowo odkrywa prawdę: znajdują się na ogromnym statku, który wrócił już dawno, a teraz krąży wokół Ziemi – i ludzkość dyskretnie opiekuje się jego zdegenerowanymi pasażerami.

Wędrowka Roya Complaina jest więc drogą ku poznaniu – zarówno otaczającego świata, jak i swego w nim miejsca. Silnie zaakcentowany jest moment, w którym protagonistów po raz pierwszy oglądają przestrzeń kosmiczną – osiągnęli to, co nie udało się Ballardowskiemu Franzowi: z mieszkańców wąskich, zamkniętych korytarzy stają się obywatelami bezkresnego Kosmosu (to w ogóle charakterystyczna cecha sposobu ukazania nieba w SF: symbolem niebieskiego bezkresu nie jest jego dzienny, błękitny, ziemski obraz – lecz właśnie czarna otchłań usiana gwiazdami).

Nie tylko opuszczenie swej dotychczasowej przestrzeni staje się przyczyną poznania świata przez bohatera. Możliwy jest schemat odwrotny: wynikiem poznania – jest decyzja o opuszczeniu. Taką podejmuje np. narrator *Pamiętnika znalezionego w wannie* Stanisława Lema (wprawdzie – jak i Franzowi M. – nie udaje mu się uciec). Od Franza odróżnia go motywacja: nie jest ciekaw świata na zewnątrz (wie, że Gmach to twór sztuczny, podziemny), lecz opuszczając Gmach chce wyrazić swoją niezgodę na panujące tam układy.

Połączenie motywu wędrowki, ucieczki i poznania (trudno ustalić, które z tych zjawisk stało się „siłą sprawczą” pozostałych: przenikają się one) odnajdziemy w powieści Kurta Vonneguta jra *Pianola*. Bunt przeciw istniejącym normom i wyjście poza przeznaczoną mu przestrzeń łączy w sobie główny bohater utworu – inżynier Paul Protheus. To dyrektor wielkiej fabryki, który jako jedyny ze swej części miasta odwiedza dzielnicę na drugim brzegu rzeki – gdzie vegetują ludzie uznani za zbyt mało utalentowanych, by ich praca mogła się przyczynić do rozwoju cywilizacji. Protheus przyłącza się później do ich buntu przeciw maszynom i technokratom, ale wszystko rozpoczęło się od niewinnych wycieczek za rzekę...

Opuszczenie obcego sobie świata nie musi być realizowane w sensie dosłownym, jako odejście fizyczne. Może to być również świadome poczucie wyobcowania, niezgoda na panujące warunki – manifestowana jako kierowanie się własnym systemem wartości. Takim bohaterem jest np. Lemowski pilot Pirx. Żyje on w świecie, w którym nakierowana

na wąskie, pragmatyczne cele wszechobecna technologia zniszczyła całościowy układ wartości nadrzędnych i ponadczasowych. Leszek Bugajski (w szkicu pod wymownym tytułem *Pilot Pirx ratuje kulturę*) przygląda się bliżej tej literackiej postaci – i stwierdza, że Pirx jest nową, przyszłościową, odmianą outsidera. Pirx bowiem, jako jedyny w przedstawionym świecie, nie ufa bezgranicznie otaczającym go maszynom, opiera się w swym postępowaniu na własnych normach etycznych i zdrowym rozsądku, nie brakuje mu też fantazji. Natomiast wszystkie otaczające go postacie to niemal pozbawione indywidualności kukły – całkowicie zdane na otaczające je komputery. Pozornym tylko paradoksem jest fakt, iż właśnie ów „humanistyczny”, nieuporządkowany bohater wychodzi cało z opresji, w obliczu których technokraci stają bezradni.

Swoistą *Podróż* odbywa też bohater tak zatytułowanej noweli Philipa K. Dicka – w głąb swej podświadomości, do krainy dziecięcych urazów i fobii.

Ocean z *Solaris* Stanisława Lema również przeprowadza na astronautach swoisty „eksperyment” psychoanalityczny – którego wyniki są dla większości z nich przerażające. Zresztą Lem – pisarz analizujący nie tyle człowieka co człowieczeństwo – w swych kreacjach spotkań z Obcymi snuje refleksje bynajmniej nie napawające optymizmem („Wcale nie chcemy zdobywać kosmosu, chcemy tylko rozszerzyć Ziemię do jego granic. [...] Nie potrzeba nam innych światów, potrzeba nam luster”), uczące jednak rozumnej pokory („Nie wszystko i nie wszędzie jest dla nas”). Relatywność antropocentrycznego punktu widzenia i niemożność porozumienia między odmiennymi formami życia wydaje się być jedną z obsesji tematycznych Lema, zaś wyobrażenia kontaktu prezentowane przez autorów mniejszego formatu – odbierać można w kontekście jego dzieł jako niezamierzona groteska.

Poznanie prawdy jest najwyższą wartością dla narratora *Kongresu futurologicznego*. Lemowski bohater trafia do społeczeństwa żyjącego w nędzy, zimnie i brudzie, wśród ruin – które jest przekonane (dzięki odpowiednim środkom halucynogennym) o powszechnym dobrobycie. Narratorowi udaje się zneutralizować działanie narkotyku i ogląda przez chwilę prawdziwe oblicze świata przedstawionego. Widzi walące się rudery, przysypane śniegiem koleiny, wynędzniałych, zdegenerowanych przechodniów, zdewastowane doszczętnie urzędnictwo. Jednak większym jeszcze przerażeniem napawa go myśl o tym, że specyfik znów zacznie działać i on z powrotem znajdzie się w Arkadii. Raczej „wolał zamarznąć w stercie śmiecia, z wiedzą, że tak jest, niż zawdzięczać ukojenie zwidom”.

Podobna jest wymowa *Kuracji wypoczynkowej* Primo Leviego. Bohater utworu otrzymuje urządzenie przekazujące z taśm bezpośrednio do mózgu wrażenia zapisane ze świadomości dowolnej żywej istoty. Poświęca się całkowicie syntetycznym doznaniom, zarzuca wszystkie inne zainteresowania, czuje się bliski Salomonowi, królowi-mędrcom ze Starego Testamentu. Narrator jednak inaczej ocenia jego „doświadczenie”: „[...] mądrość Salomona nabyta była w bólu, w długim życiu [...], mądrość Simsona jest owocem skomplikowanego obwodu elektronicznego [...], a on wie o tym i wstydi się tego, i [...] pogrąża się z powrotem [...]”.

Widać więc, że nie każda „podróż” zasługuje na aprobatę.

Inna „podróż ze znakiem ujemnym” to zniszczenie swej planety i znalezienie się na Ziemi w sytuacji przybysza – bądź w wyniku dewastacji gospodarczej (*Nieistniejąca planeta* Dicka), bądź wojny nuklearnej (*Przejazdem na Ziemi* tegoż).

Etyczną wartość zdobywania wiedzy o świecie własnym wysiłkiem rozumieją bohaterowie *Najdłuższej podróży* Poula Andersona. Opisuje on potomków ziemskich rozbitków – żyjących na odległej planecie i tworzących strukturę społeczną bliską feudalizmowi – którzy niszczą przybyły z Ziemi statek kosmiczny. Motywują ów czyn tym, iż nim sami wyruszą do gwiazd – winni poznać i zrozumieć swoją planetę. Tego pozbawiliby ich statek...

W innym opowiadaniu (*Pomocna dłoń*) Poul Anderson wyraża pogląd, że „samodzielność” w zdobywaniu wiedzy o otaczającym świecie ma również znaczenie

praktyczne. Jest to opowieść o dwóch wyniszczonych wojną kosmicznych cywilizacjach, którym Ziemia zaoferowała swą pomoc. Planeta, która ją przyjęła – pół wieku później straciła tożsamość i stała się błędym odbiciem Ziemi. Natomiast ci, którzy odrzucili ofertę – po pięćdziesięciu latach wysiłków i wyrzeczeń stworzyli własną supercywilizację: nie gorszą od ziemskiej, ale specyficzną dla swej rasy.

Wędrowka może zmienić podejście bohatera do życia także wtedy, gdy nie łączy się ze zmianą wiedzy o otaczającym świecie. Główny bohater *Alei Potępienia* Rogera Zelaznego – Czart Tuner, zmuszony do przewiezienia lekarstw przez zniszczone wojną atomową tereny USA – z cynicznego oprycha przeistacza się w ofiarnego posłańca (w przeciwieństwie do swego towarzysza, którego początkowy zapal ulatnia się w wyniku trudów).

Jedna cecha wymienionych wędrowek jest wspólna: ich uczestnicy, w przeciwieństwie do herosów stepu, są kształtującymi się na naszych oczach bohaterami drogi.

Jednak jedną z najbardziej fascynujących wędrowek spotykamy na kartach powieści nie należącej do science fiction, lecz do jej „młodszej siostry” – fantasy. Powieścią tą jest *Władca pierścieni* J.R.R. Tolkiena. W wielu omówieniach Tolkienowskiej trylogii powtarzają się zachwyty nad precyzją i „kompletnością” wykreowania świata przedstawionego (mapy krain, drzewa genealogiczne rodów itp.). Jednak o niezwykłości dzieła Tolkiena stanowi również nierozzerwalne splecenie Dobra i Zła. Wpływa to również na wędrowkę bohatera – niziołka Froda. Jego zadanie jest nie tylko największe i najtrudniejsze („[...] gdy Mędrcy zawiedli, przysłała pomoc z ręki słabej istoty”), ale i najmniej „efektywne” (towarzysz mu głód, wyczerpanie, bagniska, samotność), u celu załamuje się (przypadek pozwala dopełnić misję), wraca zaś chory, przygaszony – i po kres swych dni śni o zniechęconym i wytęsknionym Pierścieniu. Tymczasem pozostali hobbici, spełniający nieporównywalnie wdzięczniejsze, łatwiejsze (i mniej ważne!) zadania – powracają silni, mężni, w blasku sławy i dostojęństw. Ale właśnie w tych „słabościach” tkwi prawdziwa wielkość wędrowki Froda Dziewięciopalcęgo.

Niezwykła jest również wędrowka czarnoksiężnika Geda z pierwszego tomu cyklu Ursuli K. Le Guin – to pościg za własnym strachem, własną śmiercią, samym sobą.

Wróćmy do science fiction. Chęć odkrywania innych miejsc i samego siebie przypisał Lem również – stworzonym na kartach opowiadania *Doktor Diagoras* – psychikom nieantropoidalnym. Tytułowy bohater buduje myślące roboty, a będąc ciekawym reakcji twórców nie wzorowanych na psychice ludzkiej – eksperymentuje. Jednak cała jego „menażeria” ma jedną cechę wspólną: chęć ucieczki, opuszczenia swych klatek. Może dlatego właśnie dystopie konstruujące światy, w których ludzie zostali pozbawieni inicjatywy, ciekawości, chęci działania – są szczególnie przynębiające: ukazują odebranie człowiekowi tego, co uczyniło go człowiekiem.

I co czyni godnymi uwagi postaciami coraz liczniejszą rzeszę bohaterów tej części science fiction, którą przestały interesować wyłącznie kosmiczne galopady i strzelaniny.

Jan Plata-Przechlewski

[*pierwotna, ta z samej konferencji, wersja owego referatu została wydrukowana pod koniec lat osiemdziesiątych w „Informatorze Literacko-Graficznym” GKF-u; wersja powyższa, na życzenie wydawcy rozszerzona, ukazała się, wraz innymi wybranymi referatami, AD 1991 w Zeszytach Naukowych Politechniki Rzeszowskiej; dziś w „Info” pominięte zostały wszystkie przypisy, dokonane też zostały drobne zabiegi redakcyjne]*

Literatura bez zobowiązań

Andrzej Pilipiuk

Kroniki Jakuba Wędrowycza, Lublin 2001

Czarownik Iwanow, Lublin 2002

Weźmiesz czarno kure..., Lublin 2002

Fabryka Słów



Lata osiemdziesiąte przyzwyczyły czytelnika do literatury nieobojętnej etycznie, zaangażowanej w problematykę społeczno-polityczną. Jej kontynuacją po roku 1989 stał się nurt prozy rozrachunkowej, sytuującej się na pograniczu eseju i beletrystyki.

Powyższa uwaga odnosi się do równie (pozornie) eskapistycznej literatury, jaką – w odczuciu większości czytelników – pozostaje fantastyka. Bez wdawania się w wewnętrzne podziały tego typu piśmiennictwa (których kryteria są wciąż niejasne i komplikują się z każdą nową hybrydą gatunkową, jakich ostatnio przybywa), *science fiction* o orientacji socjologicznej przez ostatnie dwie dekady pozostawała naukową jedynie z nazwy. Pod płaszczykiem rekwizytów charakterystycznych dla literatury fantastycznonaukowej „przemyciała” ona niekiedy ważne refleksje na temat mechanizmów społecznych systemów totalitarnych.

Dwie dekady to – w przypadku piśmiennictwa z kręgu literatury rozrywkowej – okres wystarczająco długi, by wyrobić zestaw stereotypowych wyobrażeń związanych z taką literaturą. Nie bez znaczenia pozostaje tu również fakt, iż współczesna fantastyka traktuje swe wizje niezwykle serio, a groteskowość ujęcia pozostaje w sferze raczej obcego jej eksperymentu artystycznego. Cecha ta może tłumaczyć ambivalentność recepcji twórczości Andrzeja Pilipiuka, autora *Kronik Jakuba Wędrowycza*. Pomijając głosy reklamujące opowiadania, umieszczone na poszczególnych tomach (są one wszak obligatoryjnie pełne zachwyty nad omawianym dziełem), można w odniesieniu do *Kronik...* zauważyć pewną prawidłowość: zachwytom czytelników, dających wyraz swej aprobacji w listach, towarzyszą pełne niechęci (a w najlepszym razie – rezerwy) wypowiedzi krytyków. Nie pierwszy to przypadek rozbieżności gustów w historii rodzimej literatury (wystarczy wspomnieć „nową rewolucję w prozie”, z jej apologetą Henrykiem Berezą, i krytykę tejże ze strony poetów Nowej Fali) i pewnie nie ostatni. Tym bardziej że Pilipiuk – przywołując słowa Wojciecha Młynarskiego – robi swoje.

Zaprezentowane dotychczas trzy tomy *Kronik...* (odpowiednio: *Kroniki Jakuba Wędrowycza*, *Czarownik Iwanow* i *Weźmiesz czarno kure...*) to dzieło niejednorodne – tak pod względem gatunkowym, jak i poetyki. Klasyczna nowela grozy sąsiaduje tu z humorystyczną (choć trzeba przyznać, że humor Pilipiuka jest osobliwy, o czym później) miniaturą i obyczajowym obrazkiem. Autor *Kronik...* nie stroni również od wykorzystywania form literatury użytkowej – horoskopu, przepisu kulinarnego, milicyjnego protokołu zatrzymania. Należy jednakże zaznaczyć, że nie są to utwory wyłącznie nowe: czytelnicy znali większość z nich już wcześniej z lektury pism branżowych, a ich fragmenty można było przeczytać na autorskiej stronie internetowej (<http://pilipiuk.vrpg.net/1024/opow/ripper.html>).

Bogactwo wykorzystywanych form podawczych pełni u Pilipiuka funkcję przybliżenia świata Jakuba. Trudności z jego dookreśleniem wiążą się z faktem, że pierwotnie opowiadania składające się na *Kroniki...* publikowane były w różnych czasopiśmiech. Nie pisane z myślą o zebraniu w jednym tomie, stanowiły luźny cykl literacki, połączony osobą tytułowego bohatera (podobny problem miał, *nota bene*, Stanisław Lem z *Opowieściami o pilocie Pirxie*, które z zamierzonych kilku rozrosły się do dziesięciu opowiadań). To jednak, co w przypadku pojedynczych utworów było uzasadnione krótką formą podawczą – migawkowy obraz świata przedstawionego – w tomie okazuje się niewystarczające. Pilipiuk nie decyduje się na „ujednoczenie” świata – stąd opowiadaniom *stricte* fantastycznym

towarzyszą utwory o charakterze sensacyjnym (choć tych ostatnich jest zdecydowanie mniej). Niezależnie jednak od obranej poetyki autor przygód Wędrowycza wprowadza groteskowy dystans, pozwalający na ujęcie zdarzeń składających się na fabułę w nawias ironii. Współczesność, oglądana przez pryzmat groteski, wydaje się ukrywać swe mroczne strony za zasłoną śmiechu. Jednocześnie można odnaleźć elementy codzienności w większości utworów. Przykładowo: *Pogotowie* to opowiadanie „a propos” bulwersujących opinię publiczną wydarzeń związanych z aferą w łódzkim pogotowiu ratunkowym, działa mafia i szara strefa, a reprivatyzacja przeciąga się wskutek niekompetencji i korupcji urzędników. Obrona przez Pilipiuka strategia przywodzi na myśl pisarstwo Edwarda Redlińskiego, wydobywającego z otaczającej go codzienności absurd.

Tytułowy bohater *Kronik...* to mieszkający na wschodnich rubieżach Polski bimbrownik, alkoholik i czarnoksiężnik w jednej osobie. Dziś, po sukcesie *Pod mocnym aniołem* Jerzego Pilcha, postać Wędrowycza może wydawać się wtórna, należy jednak pamiętać, że pierwsze opowiadanie z jego udziałem (*Hiena*) drukowane było w 1996 roku. Wtedy zaś wybór Pilipiuka nie był ani oczywisty (przynajmniej na gruncie literatury fantastycznej), ani wtórny. Biorąc pod uwagę kontekst, jaki w tym przypadku stanowi twórczość fantastyczna wczesnych lat dziewięćdziesiątych, można Wędrowycza odbierać jako alternatywę wobec traktowanych niezwykle serio bohaterów, stanowiących kontynuację wzorców przejętych z *social fiction*.

Antyheroizm Wędrowycza wypływa z osadzenia realiów świata utworów nie w mityczno-baśniowym „Neverlandzie”, lecz „tu i teraz”. Przysłowiowe zacofanie „Polski B” ukazane zostało „w całej krasie”, podobne jak wzmiankowanie działania szarej strefy, wschodniej mafii i procederu pędzenia bimbru. Odnoszący się do świata z cynicznym dystansem Jakub w konfrontacji z owymi realiami okazuje się – na przekór stereotypom – jedynym trzeźwo myślącym, mimo permanentnego stanu zamroczenia alkoholowego. Kierując się swoiście pojmaną etyką zawodową dba o dobro okolicy, nawet jeśli wymaga to (jak w przypadku *Swińskiej rebelii*) zniszczenia części sąsiedzkich gospodarstw. Nie znaczy to, że Wędrowycz jest bohaterem bez wad: bywa mściwy (w *Zbrodni doskonałej* zabija podstępnie za zanieczyszczenie studni), okrutny w utworze *Wbrew pierwszemu przykazaniu* tylko przypadek uniemożliwia mu spalenie żywcem mieszkańców sąsiedniej wsi, będących kanibalami; w *Pogotowiu* odpląca „pięknym za nadobne lekarzom usiłującym go zabić”; wreszcie niefrasobliwym (w *Ostatecznej polisie na życie* operuje przyjaciele, korzystając ze wskazówek zawartych w *Frankensteinie* Mary Schelley). Zarazem jest Wędrowycz rozbijającym bezbronny i nieporadny w stosunkach z dziećmi, czego przykładem może być *Bajeczka dla wnuczka*.

Prowokująca nonszalancja, z jaką Pilipiuk „rozprawia się” z obowiązującymi wówczas stereotypami budziła i nadal budzi zainteresowanie. Tym bardziej, że autor *Kronik* posługuje się żywym językiem, kreśląc realistyczne scenki obyczajowe z życia zróżnicowanej etnicznie osady, której koloryt i przywiązanie do tradycji odmalowane zostało z iście Gogolowską swadą.

Jako się rzekło są to obrazki pełne humoru – przaśnego i rubasznego – a zarazem pokrewnego czarnemu dowcipowi Anglików. W efekcie czytelnik otrzymuje dzieło oscylujące między scenerią i mentalnością rodem z filmowej trylogii Sławomira Chęcińskiego o dziejach Karguli i Pawlaków, a *pure-nonsensownym* dowcipem *Rodziny Adamsów* i *Monty Pythona*. Biorąc pod uwagę rozbieżność gustów miłośników tak różnych typów humoru powstaje pytanie do kogo adresowane są utwory Pilipiuka. Wydaje się, że właśnie owo „rozchwianie” pozwala odnajdywać „przyjemność lektury” szerokiej grupie odbiorców, znużonych dotychczasowymi wizjami proponowanymi przez twórców fantastyki. Inna sprawa, czy opowieści o Jakubie Wędrowyczu należy uznać za próbę reinterpretacji dotychczasowych założeń tego typu piśmiennictwa. Nie wydaje się, by utwory Pilipiuka, jakkolwiek są one sprawnie napisane i czytelniczko atrakcyjne, miały odegrać jakąś znaczącą rolę w formowaniu nowego oblicza rodzimej fantastyki.

Stanowią one raczej *signum temporis* literatury popularnej, która – odchodząc od pozaliterackich zobowiązań – zaczyna bawić. Taka też przede wszystkim – rozrywkową – funkcję pełni twórczość autora *Kronik Jakuba Wędrowycza*.

Adam Mazurkiewicz

Mag ponadczasowy

Jam jest Fillegan z Wake, mag ponadczasowy, artysta - wizjoner i kat na heretyków, choć tonsury nie znoszę... Jakoż sybaryta i poliglota, ale tego chyba nie zrozumiecie - obwieścił bohater najnowszej książki Romualda Pawlaka pewnym zbójom na gościńcu, mającym chętkę na jego sakiewkę, której zresztą nie miał.

Autor, znany z licznych publikacji na łamach Magazynu Literackiego Fenix, Nowej Fantastyki, Fantasy i Science Fiction oraz z powieści "Inne okręty", teraz prezentuje czytelnikom I tom Kronik Fillegana z Wake pod wiele mówiącym tytułem "Rycerz bezkonny". Jak sam tytuł wskazuje, ów Fillegan jest rycerzem do tego stopnia zubożałym, iż postradał nawet jedyne konia. Cny szlachcic wędruje więc pieszo o chłodzie i głodzie, żałując, że śmierć wiernego wierzchowca na przyniosła absolutnie żadnego pożytku. Mogło być inaczej, niestety... nasz bohater wprost nie trawi koniny.

Znacznie bardziej jednak nie znosi kupców. Obwinia cały stan kupiecki o stratę majątku. Tak naprawdę winien był ojciec, który kompletnie zapożyczył się w zbożnym celu wyhodowania wielbłądów na angielskiej ziemi. Interes związany z pustynnymi rumakami nie przyniósł spodziewanych zysków - w zasadzie nie przyniósł w ogóle zysków - za to zaowocował istną obsesją Fillegana na punkcie wielbłądów.

Żywotna niechęć do dusigroszy i sklepikarzy wszelkiej maści bynajmniej nie przeszkadza zapobiegliwemu (i wygłodzonemu) rycerzowi postępować jak rasowy przedstawiciel kupieckiego cechu. W podróży przyswieca mu jeden szczytny cel - odkuć się jak najszybciej i odzyskać rodowe ziemie. Pracuje więc jako tragarz albo cieć w zamku znajomego hrabiego. Często odpłatnie nadaje godność szlachecką możnym kupcom, nawet wtedy, gdy znajdują się w stanie mocno nieświeżym. Czasem w końcu trzeba się poświęcić i podnieść do swej rangi trupa, aby syn mógł się cieszyć ze spełnienia ostatniej woli rodzica. Tak więc rycerz, choć niechętnie, pomaga swym domniemanym prześladowcom, lecz zwarzony z tego powodu humor skutecznie łagodzi wypchany trzosik.

Pewnego dnia do Fillegana uśmiecha się los, zsyłając mu zmyślnego giermka Duendaina. Później ów uśmiech staje się szerszy - rycerz w niezwykle brawurowy (choć bynajmniej nie rycerski) sposób pomaga kupcowi (znowu) w ocaleniu ukochanej Orri od stosu i otrzymuje w zamian iście królewską zapłatę. Wynagrodzenie stanowią... magiczne księgi. Tak, to nie pomyłka. Od tej chwili otwierają się przed nim wspaniałe perspektywy, a czytelnik powinien wiedzieć, że nasz bohater jest całkiem pojętym uczniem. W dodatku pozbawionym najmniejszych skrupułów. Nie ma on wiele wspólnego z wpojonym nam wizerunkiem rycerza.

Tyle o treści książki. Więcej nie zamierzam zdradzać, aby nikomu nie zepsuć zabawy, która moim zdaniem jest wyśmienita. W tym miejscu muszę nadmienić, że prawdopodobnie nie każdemu przypadnie do gustu typ humoru prezentowany przez Pawlaka. Pisarz posługuje się zagrywkami rodem z komedii sytuacyjnej, nie tylko nie stroni od postmodernizmu, ale wręcz opiera na nim cały dowcip. Na przykład spotykamy się ze stwierdzeniem "... i nie był to orla cień".

Opowieść nie należy do historycznej odmiany fantasy i nie stara się jej udawać. Sztafaż został częściowo zaczerpnięty ze średniowiecza, lecz jest to "pseudosredniowiecze". Nie to bajkowe (popularne, wręcz kanoniczne dla fantasy), raczej zaczerpnięte wprost z filmów "Monty Python i Święty Graal" i "Jaberwocky". Na zabawę groteską, a nawet pure nonsensem wskazują: wypowiedzi postaci, konstrukcja zdań podkreślająca absurd różnych sytuacji, czy terminy typu - "styl Rat Deco", "działalność hobbystyczna", "twarżoplastyka" (której dokonują w zaułku zbójce). Wspominani są także muzyk Chopinini i naukowiec Jakub von Glutenberg... Bohater miewa wizje - być może z głodu i przemęczenia - dotyczące najróżniejszych miejsc w czasie i przestrzeni, które nieraz podsuwają mu, co najmniej interesujące, pomysły na wyjście z opresji. Na przykład udaje przed grasantami, że... zna tajniki Kung - fu.

Podtytuł utworu głosi: "... w postaci eposu drogi albo poematu dygresyjno - aluzyjnego". Jak wiemy, epos jest zapisem wielkich czynów. Czyny Fillegana faktycznie są



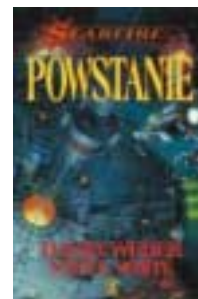
zaskakujące, przy czym przenosi się on z jednej miejscowości do drugiej, znajdując się w nieustającej drodze. Jak już wspomniałam, w powieści Pawlaka postmodernistycznych aluzji i żarcików nie brakuje. Czyli wszystko się zgadza. By czytelnik nie miał wątpliwości, każdy rozdział otwiera fragment "kroniki" spisanej przez niejakiego Hodię von Tutenberga.

Książka w zasadzie nie jest stricte powieścią. Zawiera luźne historie powiązane osobą maga - rycerza. Stanowi to niestety minus, gdyż akcja rwie się momentami, a autor ratuje ją na siłę. Szkoda także, że jedynie Fillegan stanowi wyrazistą postać. Cała reszta osób występujących w kronice to jedynie tło, kukielki mające za zadanie wpędzić go w tarapaty lub umożliwić ich unikięcie.

Pomimo to opowieści o Filleganie z Wake czyta się dobrze, o wiele lepiej niż powieść "Inne okręty". Jest to sprawnie napisana, humorystyczna książka, a nad pracującym autorem z pewnością unosił się duch grupy Monty Pythona. Niektóre żarty wymagają znajomości historii.

Na koniec wypada pochwalić graficzną formę powieści, która zawsze stanowi mocną stroną Wydawnictwa RUNA, tym razem jednak sprawiła mi szczególną niespodziankę. Nie tylko ilustracja na okładce oddaje specyfikę i treść książki, lecz także poszczególne rozdziały, które kończą kolumny zwężające się w szpic oraz drobniutki filigranowy wzorek. Rolą owej formy jest stworzenie wrażenia, iż czyta się prawdziwą "starą" kronikę.

Joanna „Trashka” Kułakowska (www.gildia.com)



Galaktyczna insurekcja

Przyznam, że do militarystycznej fantastyki podchodzę zazwyczaj niczym pies do jeża. Wynika to zapewne z faktu, iż ciężko jest przelać na papier monumentalne bitwy okrętów kosmicznych bez całego zaplecza hollywoodzkich efektów specjalnych. Książka Davida Webera i Steve'a White'a sprostała jednak temu niełatwemu zadaniu.

W „Powstaniu” autorzy zaprezentowali imponującą wizję rozbuchanej Federacji Ziemskiej, obejmującej swym zasięgiem setki systemów gwiazdnych i tysiące planet. Do tego dochodzi obca rasa, z którą dopiero co zakończono krwawą wojnę. Jak w każdym sterowanym centralnie systemie, tak i w federacji dochodzi do rozłamów. Kiedy systemy pogranicza chcą uzyskać większą niezależność i odciąć się od wyzysku korporacyjnych planet centrum, dochodzi do konfliktu.

Wysłana, jako manifestacja siły, grupa wydzielona staje się pierwszym ogniskiem nadchodzącej wojny. W ferworze wypełniania rozkazów zapomniano, że ponad połowa załóg okrętów marynarki kosmicznej pochodzi z pogranicza. Rozkaz pacyfikacji zbuntowanego systemu doprowadza do wybuchu piekła.

Autorzy sprawnie prowadzą opowieść, przedstawiając obie strony konfliktu. Dokładnie analizują oba punkty widzenia, roztaczając wizję sprzecznych interesów i kosmicznie wielkiej polityki. Prawie żadna z postaci przedstawionych w książce nie jest papierowa. Również opisom bitew i potyczek w przestrzeni międzygwiazdnej niczego nie brakuje. Wojna domowa zawsze wywołuje duże emocje i autorzy świetnie rozgrywiają tę kartę.

Momentami czułem się, jakbym czytał o kolejnych przygodach w świecie gry Wing Commander. Nie jest to bynajmniej zarzut, gdyż akurat ta seria jest klasyką, jeśli chodzi o dynamikę przedstawiania kosmicznych konfliktów.

„Powstanie” posiada jeszcze jeden bardzo poważny atut. Pomimo iż jest częścią cyklu, stanowi zamkniętą całość, nie wywołując niemiłego uczucia rozczarowania koniecznością czekania na kolejny tom.

Adam Wieczorek (www.gildia.com)

David Weber, Steve White „Powstanie”, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2004

Elfy (ciągle jeszcze) są wśród nas

Herbata z kwiatem paproci (prawda, że zgrabny tytuł?)
Michała Studniarka to opowieść spod znaku urban-fantasy.

Czytelnik może się więc spodziewać zderzenia zindustrializowanej i stechnicyzowanej rzeczywistości z Królestwem Czarów. I rzeczywiście - wtargnięcie elfów do świata ludzi, którzy mieszkańców Tamtej Strony mają za wymysł bazarzy, stanowi tutaj główną siłę napędową opowieści.

Autor - skądinąd słusznie - sięgnął do ludowych podań, pogrzebał w szczątkach słowiańskiej mitologii i zaludnił kreowany przez siebie świat domowikami, leszymi, planetnikami i innym czarodziejskim stworzeniem. Dzięki temu gdy podczas lektury zwiedzać będziemy jasne ulice i ponure zakątki Warszawy - bo tam właśnie rozgrywa się akcja - nie powinniśmy być zdziwieni, jeśli zdarzy nam się potrafić kogoś pozornie nie różniącego się od reszty przechodniów, w istocie zaś będącego elfem, co sprawdzić zresztą nietrudno - wystarczy przechylić głowę na lewe ramię, by przekonać się, czy badane indywiduum nie łni przypadkiem poświatą charakterystyczną dla mieszkańców Królestwa Czarów. A jednak - chociaż podobne spotkania w powieściowej Warszawie do wielkiej rzadkości nie należą - samo miasto nie sprzyja elfom. Ubrane zostało w kostium cyberpunkowy, co oznacza wszędobylskie korporacje, sieć na każdym kroku i ludzi z wszczepami gdzie popadnie. W takim świecie nie ma miejsca dla baśni. Żyjące wśród ludzi elfy - uczłowiczają się. Dla większości z nich to śmierć.

Nie zawsze tak było. Jednak od czasu konfliktu pomiędzy władającymi Królestwem Czarów małżonkami Goplaną i Oberonem, elfia społeczność pozostaje podzielona: podczas gdy podwładni Oberona żyją po Tamtej Stronie, ci, którzy dochowali wierności Goplanie, skazani są na egzystencję w świecie ludzi, gdzie powoli ulegają degradacji: ich moce słabną, pozbawieni kontaktu z czarodziejską ojczyzną - umierają. I nikt właściwie nie dostrzega tragedii, ludzie są albo zbyt zajęci pogonią za korporacyjną karierą, albo też poświęcają swoją uwagę Importom - jak zwą ich "nasze" elfy - istotom rodem z "Władcy Pierścieni", ku którym marketing przychylił ludzkie serca. Trudno dziwić się zatem głównemu bohaterowi powieści, dziennikarzowi współpracującemu z jednym z większych koncernów prasowych, który stając twarzą w twarz z przedstawicielami Królestwa Czarów gotów jest raczej podejrzewać, iż został uwikłany w jakiś telewizyjny show, niż uwierzyć, że ma do czynienia z najprawdziwszymi (!) elfami. Dziennikarska ciekawość jednak zwycięży i Adam Chors, mimo iż nadal sceptycznie nastawiony do całej afery, zdecydował się pomóc elfom wrócić na Tamtą Stronę. Tym samym wpakuje się oczywiście w kłopoty. Na swoje szczęście nie zostanie z nimi sam. I zobaczy w Warszawie rzeczy niesłychane. A może wcale nie? Może po prostu spojrz na otaczającą go rzeczywistość z innej strony?

Podoba mi się swojska atmosfera tej książki. Warszawa, którą opisuje Studniarek, nie jest jakąś abstrakcyjną, obcą metropolią, lecz - mimo całego technicznego zaawansowania - konkretnym miejscem, w które łatwo czytelnikowi wejść. Zresztą wszystkie te techniczne gadzety to, jak już zostało powiedziane, po prostu kostium. Cyberpunkowa rekwizytoria potraktowana została niezobowiązująco, jej wpływ na rozwój fabuły jest - poza jednym czy dwoma wyjątkami - niewielki. Nie jest to wada, tym bardziej, że owe wyjątki okazują się całkiem ciekawe, ot na przykład skierki, które zaadoptowały się do życia w sieci. Pod tym kostiumem kryje się miasto, które korzeniami mocno tkwi w rzeczywistości znanej czytelnikowi



z doświadczenia. Niekoniecznie nawet warszawskiego. Odrestaurowane, strzeżone przez ochroniarzy centrum i ponure, przynębiające uliczki współlistniejące w jednym mieście; gówniarze z braku lepszego zajęcia zabawiający się w pogańskie kultury; urokliwe, czarujące atmosferą i menu herbaciarnie; niekoniecznie pokazowe knajpy z klientelą dziwacznego autoramentu (fakt, że klientelę tę po większej części stanowią przybysze z Tamtej Strony to już zupełnie inna sprawa); pompkarze, którzy, nie wiedząc czemu, kojarzą mi się z osobnikami, zawdzięczającymi swą nazwę preferencjom odzieżowym... Wszystko to wydaje się mniej lub bardziej znajome. I to uczucie dobrze służy lekturze. Tak samo jak kubek dobrej, aromatycznej herbaty.

W oparach *Herbaty z kwiatem paproci* wyczuć można tęsknotę za światem oferującym coś więcej niż tylko dehumanizujące atrakcje pogoni za karierą; światem barwnym, którego kolory nie są jedynie sprawą fasady, lecz rodzą się gdzieś głębiej; światem, w którym magia jeszcze jest obecna, trzeba jej jeno dobrze poszukać. Brodac w dżinsowej kurtce może się przecież w istocie okazać elfem, strzegącym domowego ogniska (nawet jeśli płonie ono tylko symbolicznie), stare drzwi zaś w ceglany murze mogą prowadzić na łąkę kwitnących paproci. A nawet jeśli nie - cóż szkodzi pobawić się wyobraźnią? Tęsknocie towarzyszy gorzka refleksja: czy w cywilizacyjnej gonitwie odwieczne wartości i sny skazane są na zapomnienie lub, w najlepszym wypadku, na kultywowanie przez grupę dziwaków, zbywanych przez normalnych ludzi pogardliwym/pobłażliwym uśmiechem? Czy postępowanie okupić postępującym rozwarstwieniem społeczeństwa, dewaluacją głębszych przeżyć na rzecz gwałtownych, lecz jałowych ekstaz? Czy marzenie musi stać się przeżytkiem? Czy rzeczywiście elfy skazane są na zagładę i zapomnienie? Nie dane jest im istnieć bez ludzi, to pewne. A czy ludzie mogą istnieć bez elfów? Jasne, że mogą. Ale...

Książka Michała Studniarka nie stawia tych pytań w jakiś artystycznie wyszukany, intelektualnie podniecający sposób, przeciwnie, czyni to otwarcie i bezpośrednio, by nie rzec - naiwnie - ale zarazem na tyle skutecznie, by skupić na nich uwagę czytelnika choć na krótką chwilę. Urban-fantasy zdaje się w ogóle wyrastać z pragnienia rehabilitacji czarodziejskiej strony naszej rzeczywistości. *Herbata z kwiatem paproci* nie stanowi tutaj wyjątku.

Rzecz czyta się przyjemnie, bez rumieńców wprawdzie, lecz i bez uczucia czytelniczej złości. Fabuła rozwija się spokojnie, stanowi bardziej ciąg sytuacyjnych obrazków niż zwartą, drobiazgowo złożoną konstrukcję, gdzie każdy element jest ważny - ale ta pisarska swoboda nie przeszkadzała mi w lekturze.

Michał Studniarek ma niezłe pomysły, pisze sprawnie i z wyczuciem. Ciekawie kreśli tło opowieści: znalazło się tu miejsce i na bezpośrednie odwołania do Tolkiena, i na obrazy marketingowego zamieszania wokół sprawdzonych tytułów fantastycznego kina, i na wizytę na fantastycznym konwencie. Nie mogło zabraknąć oczywiście często sączonej herbaty. Główny bohater w swych zmaganiach z rzeczywistością nieraz wspomaga się tym napojem, czemu dziwić się nie sposób. Każdy chyba lubi od czasu do czasu napić się dobrej herbaty, prawda?

Niestety, zakończenie psuje pozytywne wrażenie. Jest po prostu słabe. Najwyraźniej autor nie bardzo wiedział, jak ciekawie zwieńczyć literacką tkaninę, więc urznął ją przy końcu, jak leciało. Wiele można powiedzieć o finale, ale na pewno nie to, że zachwyca finezją czy dramatyzmem. Jest tak niewyszukane, jak to tylko możliwe. Szkoda.

Jaki świat, jacy ludzie - takie baśnie. Jeżeli baśniowy świat pograża się w dekadencji, to czyja to wina? Elfów? Czy nasza?

Marek Pustowaruk (www.gildia.com)

Michał Studniarek „Herbata z kwiatem paproci”, Agencja Wydawnicza „RUNA”, Warszawa 2004.

Przydługi tytuł od redakcji (bo autor nie raczył):

**Straszone dziecko ma moczenia nocne,
powodujące większe zużycie
prześcieradeł, co wpływa na wzrost
dochodu sprzedawców i hurtowni, rozwój
przemysłu włókienniczego
i zmniejszenie bezrobocia - czyli
generalnie podnosi nam stopę**



Duet artystyczny - bo chyba tak właśnie można ich nazwać - Neil Gaiman oraz Dave McKean po raz kolejny zabrał się do straszenia. Tym razem szczerzą wilcze zęby w kierunku dzieci. Ciekawym jest, z jak ogromnym wyczuciem to robią. Nawet 4-latka potrafią wciągnąć do swej zabawy w... *Wilki w ścianach*.

Na czym polega ta gra? Najprościej rzecz ujmując, na poważnym potraktowaniu dziecka. Dziecko zaskoczone jest nieprzesłodzoną, sprawnie poprowadzoną i zwiążą intrygą. Taki zabieg byłby jednak dla Gaimana oraz McKeanów zbyt prosty. Tym razem więc dziecko obcuje z historią ukazaną nieco inaczej. Odpowiada za tę „inność” formuła tego wydawnictwa. Trudno nazwać tę formę książką czy też komiksem - łączy oba walory. Historia jest więc niby-książką, niby-komiksem. Za mało jednak w niej treści na tzw. illustrated novel. Pisarsko-plastyczny tandem przekracza w sposobie narracji tradycyjne pojęcie „książki dla dzieci”. Tu nic nie jest ważniejsze od innego elementu. Ani ilustracja od tekstu, ani tekst od ilustracji. Dziecko czyta (bądź słucha tego, co czyta rodzic lub rodzeństwo) zdania będące integralną częścią obrazu. Niekiedy nawet nie są one wcale takie łatwe do odszyfrowania! Oczywiście dla naszych pociech.

Taki niebanalny efekt to zasługa doskonałej żonglerki typografią, której to mistrzem jest McKean. Złożony i frapujący obraz buduje więc historię na równi z tekstem. Wciągają czytelnika oniryczne postacie, pejzaż, wnętrza domów kreowane z fragmentów fotografii oraz rysunków. To wszystko zasługa McKeanów - jego prace są takie jak dla dorosłych (polecamy okładki płyt autorstwa McKeanów!) - wibrujące, rozświetlone, pokrzywione. Przyciąga uwagę nietuzinkowe literactwo - jako integralna część kompozycji obrazu także bierze udział w budowaniu napięcia (to np. wyciszające i zarazem zmniejszające się fragmenty tekstu). W tym miejscu ukłony należą się również osobie odpowiedzialnej za polski przekład.

Książka „Wilki w ścianach” to kolejna odsłona literatury dla dzieci w zaiste wybitnym stylu. Talent obu autorów znany jest z ich twórczości dla większych dzieci. Niemniej, jak w przypadku ilustratora Dave’a McKeanów, ów senny, skomplikowany styl jego fotomontaży przeniesiony został tu odważnie i obficie na grunt literatury dla dzieci młodszych. Co najważniejsze, potrafi być zrozumiała. Tym samym staje się inspiracją do dociekań oraz pytań ze strony młodego czytelnika.

Dawid Brykalski (www.gildia.com)

Neil Gaiman, Dave McKean „Wilki w ścianach”, Mag 2004, tłum. Paulina Braiter-Ziemkiewicz

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

ADRES INTERNETOWY „INFORMATORA”: informator@gkf.art.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Marek Michowski,

Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski, Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

RYSUNKI: Marek Dąbrowski (6), Magda Kaczmarczyk (9, 10, 11), Grzegorz Raczek (3),

Piotr Terszel (12, 13)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 400

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR

184

**Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów
i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji**